

№ 2 ŚWIAT 10-I 1931

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXVI **ŚWIAT** NR 2

WARSZAWA, DNIA 10-go STYCZNIA 1931 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

U wielkiego przyjaciela Polski

12, rue Dufraigne. Spojrzałem w okna domu — były ciemne. Napisałem na bilecie parę słów, zwiastujących moje odwiedziny nazajutrz rano — i wrzuciłem go do skrzynki. Przypatrywałem się domowi Pawła Cazina. Tak dokładnie, bezceremonjalnie, spokojnie nie przyjrzałbym mu się nigdy pod okiem właściciela. W domu tym było coś klasztornego i znamię pewnej *sobrieté,* która cechuje rzeczy wysokiej kultury. Dom był stary, może z XVII wieku.

Do wnętrza jego wdarłem się dopiero następnego ranka. Cazin jeszcze spał. Czekałem w ogromnym pokoju ze wspaniale belkowaną i polichromowaną powałą. Wreszcie nadszedł Błogosławiony Paweł z Autun. Był w rannem ubraniu, jeszcze zaspany — i klął. Przywitał mnie bardzo serdecznie, poczem wrócił do przerwanej serji przekleństw. — Bo to tak zawsze, mruczał, mówiłem temu durniowi, żeby mnie obudził... to przecież człowieka krew zalewa! — Spostrzegłem dopiero teraz, że Cazin od początku, idąc na moje spotkanie, pomrukiwał swe przekleństwa po polsku. Wziąłem to — cóż było robić? — jako szczególną chęć uczczenia przybyłego z dalekich stron przyjaciela Polaka. — Przeszliśmy do gabinetu gospodarza i nawiązała się odrazu przemiła gawęda o rzeczach błachych: o tem, jak go szukałem, jak błąkałem się po uliczkach Autun i o tem, że w Burgundji inaczej smakuje choćby „najprostsze" wino, że to, że owo. — Było to wszystko niezmiernie miłe, proste i przyjacielskie. Sprawa zaczęła się komplikować, gdy Błogosławiony wziął do ręki jakieś stare wydanie Reja — i tak od niechcenia zaczął mi klarować swoje poglądy na różne sprawy, dotyczące mistrza z Nagłowic, o których pojęcie miałem, powiedzmy, ogólnikowe. — A co do Klemensa Janickiego — rozgadał się Cazin już zaindyczony, a binokle chwiały mu się na nosie i groziły spadnięciem — to nie wiem, jak ty, ale ja... Znów mu przerwałem, chcąc zwrócić rozmowę na temat, o którym miałbym coś więcej do powiedzenia. Zapytałem go o pamiętnik Barrèsa, nieznany mi jeszcze, a który właśnie ukazał się w druku...

— Dobrze, dobrze,—nie słuchając mnie, zagadał Cazin — mam tu jednego Francuza, który ci te rzeczy wyklaruje... Ale o czem ja to — acha, Janicki, więc właśnie...

Ta cicha walka między Francuzem, który nie chciał słyszeć o Barrèsie i Polakiem, któremu się nie kwapiło do Janickiego, rozwinęłaby się zapewne w bogatą wstęgę epizodów, gdyby nie to, że Błogosławiony w pewnym momencie spojrzał na zegarek.

— Musimy ruszyć na śniadanie — ci Francuzi, kochany naród, swoją drogą — są djablo punktualni, jeśli chodzi o śniadanie, — po pierwszej nic nie dostaniemy.

Zasiedliśmy w starej prowincjonalnej francuskiej oberży, to znaczy w przybytku, gdzie jedzenie jest sentymentem i poezją. O właścicielu takiej oberży mówi się naturalnie przez *père. Le père Pelux* ugościł nas doskonałem śniadaniem i pysznym Pommard'em. Naokoło typowa publiczność prowincjonalna, jegomościowie ze starych sztychów. Przedziwnie zachowała się ta prowincja francuska! — Naprzeciwko nas siedzi czerstwy, chyba osiemdziesięcioletni staruszek, który zachodzi tu

czasem na śniadanie z przytułku. Starowina jest głuchy. Zapija wino, a przed sobą na stole położył mały czerwony kwiatek, któremu się z lubością przypatruje. Był mu do czegoś potrzebny. Wypowiadało się tu widać jakieś bardzo osobiste i zawiłe prawo. — I dosyć było zwrócenia uwagi jednego z nas na ten szczegółik, aby rozmowa zeszła na mistyczne ścieżki porozumienia, jakie wywiązują się między ludźmi o jednakowym rytmie upodobań.

— Skiwski w Autun — tego tylko brakowało! — Cazin wychylił wino. Spojrzeliśmy na siebie i roześmieliśmy się.—Zjechało jakoś na literaturę (czyż mogło być inaczej?). Była to wielce bezceremonjalna rewja wzdłuż ogromnego frontu, bo literatur aż dwóch narodów. Mówiliśmy tylko o pisarzach żyjących... Poczułem wyraźnie, jak prawdziwie nas kocha Błogosławiony. — „Nicpoń", „leń", „łachmytek", „zdolny, ale zeszedł na psy" — albo „vieux roublard", „vaurien", „plaisantin"— oto słowa, które jak kule warczały w powietrzu. Naturalnie wyzwiska polskie pochodziły od Cazina, a francuskie odemnie. Błogosławiony mówił o naszej literaturze z tym krytycyzmem, bezceremonjalnością i swobodą, które wyłączają wszelką „kurtuazję wobec obcego" — a są wyrazem głębokiej sympatji, i zarazem rozumnej, gorącej troski o to, aby „wszystko było najlepiej". — Kiedyśmy już wychodzili, mówił mi Cazin z konspiracyjną radością:

— Mówią o was w świecie coraz więcej, cytują was, powołują się na wasze urządzenia. — A ja usłyszałem „mówią o nas"... Prosiłem, aby powtórzył jeszcze raz to zdanie — i znowu Cazin powiedział „o was", a ja znowu usłyszałem „o nas". — Zdaje się, że obaj mieliśmy rację. —

Na prowincji francuskiej żyje się naprawdę „od śniadania do śniadania" — coś analogicznego do liczenia czasu na Olimpjady. I ja też tym trybem opisuję mój kilkodniowy pobyt w Autun. — Owóż następne śniadanie odbyło się w warunkach zgoła odmiennych. Dzięki Cazinowi dotarłem do wnętrza francuskiego burżuazyjnego domu, co nie jest znowuż we Francji tak łatwo. — Pani Guignard, żona miejscowego księgarza, która nas zaprosiła, orjentuje się doskonale w stosunkach polskich. Rozmawiamy na temat wpływów kultury gallo-romańskiej w Polsce. Pani Guignard rozwija zajmującą teorję o pokrewieństwie słów *bouger* i *burzyć*, jako że oba oznaczają czynność zmiany, destrukcji. — Nasze dumania filologiczne przerywa Cazin, który właśnie przyszedł. Państwo Guignard roztaczają swą niezwykłą gościnność, — dziś żyjemy już nie pod znakiem Pommard'a, ale wina Jocelyn, które popijam z wielką ochotą. W myśli szukam analogji z naszą prowincją. Znajduję poszczególne elementy: gościnność, serdeczność, dobra kuchnia — to jakoś idzie; trudniej mi na tle naszego pejzażu umieścić tę księgarzową, pochłoniętą zagadnieniami z filologji porównawczej. — Tę jedyną zresztą nutę goryczy osładza znakomicie wyborny deser i brzoskwinie. Jeszcze kieliszek Calvadosu (omało co nie napisałem „jeszcze dwie gruszki...") i ruszamy z Błogosławionym Pawłem na długą wędrówkę po przecudnem rzymskiem i średniowiecznem Autun, gdzie są i ruiny bram rzymskich i



PAUL CAZIN

świetnie zachowane warownie i przewspaniała katedra. — A później wieczorem wyjeżdżamy do letniej rezydencji Cazina, La Grande Verrière. Tutaj poznaję niezwykle miłą i uprzejmą panią domu, wybitną malarkę, której płótna oglądałem w domu państwa Cazin, w Autun. Błogosławiony prowadzi mnie na balkon. Szeroki ruch ręką, wskazujący rozległy górski pejzaż.

— Prawda, przypomina Podkarpacie? —

Aż się zatoczyłem: uderzył mi do głowy ten nektar irracjonalizmu, którym byłem pijany od paru dni. Dlaczego „Podkarpacie" (wymówione doskonałym polskim akcentem), tu, w dolnej Burgundji? Dlaczego to mówi Paweł Cazin, Francuz z krwi i kości? Jakież to prawa rządzą naszą psychiką, że można tak wewnętrznie przeskoczyć tyle mil, tyle lasów, tyle rzek i tyle wieków różnej historji dwóch wielkich narodów? — Świat wydaje mi się w tej chwili ogromnie tajemniczy.

Późny wieczór. Znowu jestem w Autun. Błogosławiony został w La Grande Verrière — pracuje nad książką o Kochanowskim. Pociąg mój odchodzi o szóstej rano — włóczę się po ślicznym starym domu i korzystając z pozwolenia gospodarza, szperam w jego bibljotece. Natrafiam na zeszyt, zawierający zbiór ważniejszych recenzyj, artykułów o dziełach Cazina i różne ciekawostki. Zeszyt mnie zainteresował, zaczynam go przeglądać uważniej — aby w pewnej chwili natrafić na dokument, który na wieki będzie świadczył, kim był dla nas Paweł Cazin: że był czemś więcej, niż „przyjacielem Polaków" (ku uciesze Błogosławionego, nazywałem go przyjacielem Francji), czemś więcej, niż wytrawnym znawcą naszej literatury, świetnym tłumaczem Paska, Reymonta, Weyssenhoffa; że jakiemś tajemniczem prawem ten Francuz naprawdę żyje naszem życiem, cierpi naszym bólem, raduje się naszą radością. — Dokument, o którym mówię, jest to zwykły kilkunastowierszowy wycinek z polskiego dziennika, (niestety, w pośpiechu nie zanotowałem tytułu), a treścią wycinka jest list, który Cazin skierował do prasy polskiej w obronie polskości, uciskanej przez szkołę rosyjską, występując ostro przeciwko bzdurnym roszczeniom niejakiego pana Aleksiejewa, „wybranego" do Dumy, jako „poseł" z Warszawy, który zaryzykował niefortunne porównanie szkolnictwa francuskiego z ówczesnem rosyjskiem, utożsamiając ich tendencje kulturalno-wychowawcze... — Trzeba sobie uprzytomnić, że było to pisane w czasie rozkwitu aljansu francusko-rosyjskiego i w czasie, kiedy Cazin był młodym początkującym uczonym, któremu zadzieranie z panującym wówczas kursem politycznym karjery napewno „nie ułatwiało". Ten mały dokumencik, który, objektywnie biorąc, jest dziś tylko ciekawostką, pozostanie niezatartem świadectwem jednego z piękniejszych momentów braterstwa francusko-polskiego, które przemówiło nie w oficjalnej, starannie przygotowanej mowie — ale słowem żywem, serdecznem i odważnem.

J. E. Skiwski



NOWY ROK NA ZAMKU KRÓLEWSKIM W WARSZAWIE

PAN PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ PRZYJMUJE ŻYCZENIA OD PRZEDSTAWICIELI KORPUSU DYPLOMATYCZNEGO. M. IN. STOJĄ: PREMJER SŁAWEK, SZEF PROT. DYPL. HR. PRZEŹDZIECKI, AMBASADOR WILLYS, SZEF KANCELARJI CYW. DR. LISIEWICZ, MIN. ZALESKI, AMBASADOR MARTIN-FRANKLIN. Fot. Światowid

Zgon zwycięzcy z nad Marny

Dnia 3 stycznia r. b. zmarł znakomity wódz francuski, zwycięzca z nad Marny, ś. p. marszałek Józef Joffre. Jego zimna krew, realizm w ujmowaniu zagadnień militarnych, zbawiły naród francuski od klęski i zorganizowały świetne, decydujące zwycięstwo nad Marną. Sztab generalny francuski nie był przygotowany na inwazję niemiecką od strony Belgji. Joffre, jako szef najwyższej rady wojennej podczas pokoju, opracował inne plany obrony i ofenzywy, licząc się z istniejącemi traktatami. Niemcy te traktaty zdradziecko naruszyli i runęli przez Belgję do Francji, pragnąc za wszelką cenę zdobyć Paryż. Dzięki przytomności naczelnego wodza wojsk francuskich plany zostały zmienione stosownie do nowych warunków, wojska przegrupowane i nad Marną wydano decyzję ofenzywy. Atak niemiecki został krwawo odparty.

Bitwa ta zdecydowała właściwie o losach wojny. Joffre zwycięstwem tem przygotował sprzymierzeńcom późniejszą kapitulację armji państw centralnych. Wysokie jego uzdolnienia militarne były zawsze cenione we Francji. Wybuch wojny zastał Joffra na stanowisku szefa sztabu i generalissimusa. Szybka i sprawna mobilizacja była jego dziełem. Zdecydowała o obronie!



Ś. P. MARSZAŁEK JÓZEF JOFFRE

Józef Joffre, marszałek Francji, pochodził z ubogiej rodziny. Ojciec jego był bednarzem, obarczonym liczną rodziną, złożoną z jedenaściorga dzieci. Przyszły pogromca niemców urodził się dn. 12 stycznia 1852 r. w Rivesalt, miasteczku nad samą granicą francusko-hiszpańską. Brał udział w wojnie 1870 roku. Szczeble karjery wojskowej przebywał tak w służbie krajowej, jak i kolonjalnej. Marszałek Foch, przyjaciel jego, tak ujął właściwości psychiki zwycięzcy z nad Marny:

„Jego podstawową cechą był niezmiernie pewny sąd i trzeźwy, zdrowy rozsądek!"

Ten trzeźwy, zdrowy rozsądek francuski zdecydował o losach świata. Zwycięstwo Joffra przyspieszyło realizację i naszych praw do Niepodległości. Zgon tego znakomitego wodza okrywa żałobą nietylko naród francuski. Nad mogiłą jego ze czcią pochylą się i nasze sztandary.

F.

nasze nowe







1. HALINA JAROSZEWICZOWA (B. B.)

2. EUGENJA WAŚNIEWSKA (B. B.)

3. MARJA JAWORSKA (B. B.)

4. MARJA BAŁABANÓWNA (B. B.)

5. JANINA KIRTIKLISOWA (B. B.)



Na listach kandydackich do Sejmu i Senatu dzieje się zupełnie inaczej, niż na każdym kroku w życiu: kobiety ustępują pierwszeństwa mężczyznom. Czołowe miejsca zawsze przeznaczone są dla płci brzydkiej. Wskutek tego przy proporcjonalnych wyborach kobiety tylko przypadkiem mogą uzyskać mandat — dzięki wielkiemu zwycięstwu danej listy.

Tak się stało ostatnio z Blokiem Bezpartyjnym. Wprowadził on do Sejmu aż 9 posłanek, gdy poprzednio miał dwie. Liczba ogólna kobiet w obecnym Sejmie sięga 14, co stanowi rekord ogólnopolski, a nawet wszechświatowy. W żadnym parlamencie panie nie są tak liczne. U nas w Sejmie Ustawodawczym było ich 8, w I-ym Sejmie ordynaryjnym — 9, w Sejmie poprzednim — 8. Senat miewał zaledwie po 2 — 3 przedstawicielki płci pięknej. Dzisiaj zasiada ich także 3. Lewicę zdobi zasłużona działaczka socjalistyczna p. Dora Kłuszyńska, centrum — p. Grunerkówna z Kielc i p. generałowa Hubicka, żona ministra pracy i opieki społecznej, a siostra wojewody kieleckiego, p. Paciorkowskiego.

Obok p. Ludwiki Wolskiej, młodej nauczycielki z Włocławka, obok pełnej uroku p. Haliny Jaroszewiczowej, znanej lepiej pod panieńskiem nazwiskiem Chełmickiej z niebezpiecznych przygód wojennych i pełnych poświęcenia czynów odwagi, widzimy sędziwą, surową postać pani Moraczewskiej, przewodniczącej Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet, małżonki b. ministra i premjera.

Jest ona naturalną przewodniczką na terenie parlamentarnym wszystkich posłanek z Bloku Bezpartyjnego; ku niej kierują pytający wzrok panie, znane ze służby społecznej, ale po śliskich posadzkach sejmowych stąpające jeszcze niepewnie; wokół niej skupiają się, jak pensjonarki przy przełożonej.

Obok niej praktykę parlamentarną reprezentują posłanki z poprzedniego Sejmu, p. Jaworska ze Lwowa i p. Waśniewska z War-

posłanki

6. DR. GABRJELA BALICKA (KLUB NARODOWY)

7. ELINA PEPŁOWSKA (KLUB NARODOWY)

8. ZOFJA MORACZEWSKA (BB)



6.



7.

8.



9.

9. DOROTA KŁUSZYŃSKA (P. P. S.), SENATORKA

10. LUDWIKA WOLSKA (BB)



10.

szawy. Zewnętrznie trudno sobie wyobrazić większy kontrast: jedna szczupła, malutka, czarna i żywa, druga okazała blondyna o miarowych ruchach. Ale w pracach sejmowych doskonale się uzupełniały: p. Jaworska zajmowała się sprawami szkolnemi i kulturą duchową, p. Waśniewska jest specjalistką w dziedzinie obrony zawodowych interesów kobiet, przewodnicząc od lat organizacji pracowniczek handlowych i biurowych.

Wielką energją ma się odznaczać p. wojewodzina Kirtiklisowa, posłująca z Wilna, oraz p. Balabanówna z Tarnopola. Dużą wagę przywiązują też do obecności w Sejmie p. generałowej Berbeckiej, reprezentującej pracę w Rodzinie Wojskowej i w Białym Krzyżu. Wreszcie poczet pań z Bloku Bezpartyjnego uzupełnia posłanka Marczyńska z Łodzi.

Na ławach Stronnictwa Narodowego zasiadają trzy kobiety: p. Gabriela Balicka, piastująca „żelazny mandat" przez wszystkie Sejmy i niejednokrotnie zabierająca kompetentny głos w sprawach wychowawczych. Obok niej znalazły się p. Ewelina Popławska, energiczna rzeczniczka właścicieli nieruchomości, piórem i słowem walcząca z ochroną lokatorów, piastująca mandat z Łomżyńskiego, i p. Helena Grossmanówna, posłująca z Poznania. Czy i w jakim kierunku zaznaczą się te panie na forum sejmowem — jeszcze niewiadomo.

Również nieznana jest posłanka Szpringerowa z Krasnegostawu, należąca do stronnictwa chłopskiego, jedyna kobieta, zasiadająca na lewicy.

Wśród mniejszości natomiast odnajdujemy dawną znajomą z poprzedniego Sejmu, p. Rudnicką, piękną Ukrainkę, która porzuciła izbę szkolną dla izby prawodawczej.

—ski.

Fot. Photo-Plat

ALGIER



(Przyjazd i port. — Hotele i restauracje. — Ulice i sklepy. — Dzielnica arabska „suki", kawiarnie, przygodne restauracje. — Damy algierskie i woale. — Tancerki arabskie).

Po krótkich — 28 godzin przeprawy, zamiast 24, bo Morze Śródziemne miewa niezbyt miłe kaprysy — lecz ciężkich cierpieniach większość pasażerów starego i niebardzo wygodnego stateczku „Lamoricière", kursującego pomiędzy Algierem a Marsylją zaczyna trochę swobodniej oddychać. Przez maleńkie okienka dostrzegamy na widnokręgu czarną linję — ziemia, Algier. Przeprawa morska pomiędzy Algierem a Marsylją jest stosunkowo krótka, bo normalnie powinna trwać od 20 do 24 godzin, lecz w pewnych okresach Morze Śródziemne, o którem jeszcze stary Horacy mawiał, że jest gniewliwe i niestałe, przedłuża tę przeprawę nieraz do 48 godzin i więcej, przyczem o ile statek nie odznacza się poważnemi rozmiarami, miota nim, jak łupiną od orzecha, co naturalnie odbija się i na humorze i na zdrowiu pasażerów. Amatorem morskich podróży mało doświadczonym a wybierającym się tą drogą do Afryki, warto zalecić, aby dobrze wybrali swój statek, niezbyt mały i nowy. Wracając bowiem z Afryki na statku o poetycznej nazwie „Sidi-bel-Abbès", należącym do innej C-ie, o wiele mniej reklamowanej, nowym i bardzo wygodnym, przekonałam się, że 36 godzin podróży z Oranu do Marsylji przeszły mi wcale znośnie, gdy podczas mej podróży do Algieru na 400 pasażerów zaledwie 20 trzymało się na nogach. To też radość nasza na widok portu była zupełnie uprawniona i zrozumiała. Najzabawniejszą rzeczą było, że wszyscy prawie jęczący chorzy ozdrowieli cudownie znalazłszy się na ziemi, co mówię, nawet już w porcie. Dla niewiadomych mi przyczyn nie było tragarzy wchodzących na statek. Byli chorzy porwali zatem ochoczo swe manatki i popędzili żwawo po schodach do portu. Tu dopiero otoczyła nas ćma tragarzy - Kabylów o ciemnych twarzach i błyszczących, jak czarne paciorki, oczach. Powierzam mój skromny bagaż opiece jednego z nich i czekając na autocar, zawiązuję z nim rozmowę, a właściwie odpowiadam na jego pytania.

— Ty jesteś z Francji, pani?

— Z Francji, z Europy. A tyś nigdy nie był we Francji?

— Po co? niech inni jadą, tam zimno. Algier — ciepło, — tłomaczy mi w swoim łamanym franko-algierskim języku. — Paryż duży, Marsylja duża, Algier też duży, wszystko jedno.

Zgadzam się z tem rozumowaniem, tembardziej, że odnajdujemy nareszcie autocar, który miał czekać na nas. Pakujemy się wszyscy do tych nowoczesnych wehikułów, w których wygląda się mniej więcej, jak drób wieziony w kojcu na jarmark. Przed portem wspaniałe palmy, owiewa nas zaraz jakieś inne powietrze pachnące, świeższe, niż w starej Europie. Ale ponieważ jesteśmy na brzegu morza, więc niema jeszcze powodu do zbytnich entuzjazmów.

Ulice Algieru przedstawiają dość dziwne sprzeczności. To piękne szerokie ulice, lub bulwary, wysadzane platanami, jak we Włoszech, to dopiero rozpoczęte ulice, gdzie piętrzą się wspaniałe budowle bez dachów, lub pół ulicy jest elegancko wybrukowane, wyasfaltowane etc., a druga połowa tonie w piasku i — w dni słotne — w błocie. Sklepy europejskie, ale znać mimo to Wschód, jednem słowem, wszędzie przebija pewna egzotyczna nuta. Hoteli dużo i niektóre urządzone z wielkim komfortem. Ale w nowych hotelach przy wzorowych urządzeniach nowoczesnych często brak jakichś najpotrzebniejszych szczegółów, tak jak brak dokończenia nowych ulic. Praca tu wre, praca usilna, ale nie pokonała jeszcze wszystkich trudności.

Za to wszystkim smakoszom i amatorom wina oraz różnych morskich przysmaków śmiało polecić mogę algierskie restauracje. Wprost przerażającą jest obfitość, z jaką dają tu jeść. Weźmy przeciętną, skromną restaurację w cenie od 8 do 10 frs. mniej więcej, zatem 3 zł. polskich. Dwie osoby biorą zwykle „menu". Dostają najpierw całą wazę wybornej zupy, potem spory półmisek olbrzymich krewetek, jakich nigdy nie widziałam w Europie, z majonezem, następnie podobny półmisek mięsa pieczonego i drugi jarzyn, naturalnie z nieuniknionym w Algierze groszkiem zielonym, potem ser i podwójny deser. Do tego wszystkiego litr wina algierskiego, wcale dobrego. To też o ile przybysz znajdzie tani hotel, o co raczej trudno, nie zrujnuje się na życie, bo jeżeli pójdzie do dzielnicy arabskiej, może pożywić się jeszcze taniej, oczywiście z warunkiem, aby nie był zbyt wybredny.

Dzielnica arabska! Kasbah, o którym tyle nasłuchałam się w Europie. Po kamiennych schodach drapiemy się w górę i odrazu wpadamy w centrum jakiegoś targu. Olbrzymie stosy złocistych cytryn, płomiennych pomarańczy i mandarynek, dalej mnóstwo egzotycznych towarów, jak stroje arabskie, przedmioty miedziane i cynowe, bardzo ładnie wyrabiane, tkaniny miejscowe, wyroby skórzane etc. Kupujemy za franka masę mandarynek, potem próbujemy „frites" (smażonych kartofli) arabskiego kucharza, potem dosyć zabawnych ciastek z miodem, zwanych „zambija", w rodzaju długich cienkich rurek, wypełnionych miodem, zachodzimy do mrocznej kawiarni, gdzie przygotowują turecką, lub jeśli kto woli arabską kawę,



MAŁA PRZEKUPKA ARABSKA Z POMARAŃCZAMI



ARABKA W ALGIERZE



KATEDRA W ALGIERZE

podług odwiecznych przepisów. Przed kawiarniami siedzą nieruchomo zamyśleni Kabyle i Arabi, niektórzy palą niedbale, inni patrzą przed siebie obojętnym wzrokiem. Niektóre kawiarnie naśladują już „genre" europejski.

Dwie duże ulice: rue Randau i rue de la Lyre obfitują szczególnie w „suki", czyli sklepy. Rue Randau bardziej arabska, tańsza i nieskończenie ciekawa. Ale i na rue de la Lyre można znaleźć wiele interesujących rzeczy. Zgoła niepodobne do europejskich te sklepy arabskie. Wszystko tu lśni, mieni się barwami, złotemi i srebrnemi haftami, żywemi kolorami. Oto kostjum dam arabskich: szerokie szarawary i stanik, całe wyszyte srebrem; oto biżuterja, wśród której szczególną uwagę zwracają bransolety srebrne, pozłacane, wysadzane kamieniami wszelkich barw, daleko szersze i większe od naszych bransoletek. Nosi się je rozmaicie, na ręku i na ramieniu. Niektóre piękności arabskie mają ich całe kolekcje. Dalej bardzo ładne są sklepy z obuwiem, a raczej pantoflami. Mnóstwo osób nosi pantofle wśród Arabów, a płeć męska niemniejszą tu odznacza się kokieterją, jak żeńska. Pantofle są czerwone, żółte, zielone, niebieskie etc. przyozdobione rysunkami innego koloru, „mules" damskie, rodzaj papuci zabawnych, prawie dziecinnych, jednem słowem, widać tu, że w Algierze stopy ludzkie odgrywają większą rolę, niż ręce.

Wchodzimy do jednego z takich sklepów, ciemnawych, zacisznych. Właściciel, wysoki, dostojny starzec, z białą brodą patryarchy, wita nas uprzejmie i usadza na nizkich zydelkach. Targujemy się tutejszym zwyczajem, grzecznie przepołowiając cenę. Koniec końcem nabywamy po mocno zniżonej cenie parę par pantofli damskich i męskich, poczem piękny starzec woła głośno:

— Jussuf, Jussuf!

Pojawia się jakiś Arab i przynosi z sąsiedniej tajemniczo mrocznej kawiarni arabskiej tacę z maleńkiemi filiżaneczkami kawy, przyrządzonej na sposób tutejszy, lub jeśli kto woli, turecki. Bardzo drobno zmieloną kawę, niemal na proszek, gotują powoli z cukrem i podają w ten sposób, że trzeba pić powoli i ostrożnie, aby pozostawić proch na spodzie. Kawa taka ma zupełnie inny smak, jak europejska.

Nasz kupiec z dworską uprzejmością robi honory domu, ustawia tacę na zydelku i zaprasza nas na wonny, dymiący napój. Rozmawiamy potem przez chwilę o Europie, o Algierze i rozstajemy się, jak para dobrych znajomych.

Teraz kolej na rue de la Lyre, gdzie kupuję sobie „haik" czyli kompletny woal dam arabskich. Mimo postępów cywilizacji, ogromna większość mieszkanek Algieru zachowała dawny kostjum i ma rację! Ślicznie wyglądają te białe cienie w zwojach jedwabiu lub miękkiej wełny, tylko oczy błyszczą niezwykłym blaskiem. Mogę zapewnić z własnego doświadczenia, że ten strój nie jest ani niewygodny, ani przykry. Miły Boże, jak dobrze spacerować tak, nie troszcząc się o mody, a co za wygoda! Można obserwować bezkarnie każdego, podczas gdy nikt nas nie widzi. Za to myliłby się ten, ktoby sądził, że podobny strój krępuje niekiedy gadatliwość pewnych dam. Widziałam zawoalowane Arabki kłócące się równie żwawo, jak Europejki. Mają zresztą czas przyzwyczaić się do woalu, bo często wdziewają go już mając ledwie lat dwanaście.

— Niech ją pani odfotografuje, mówi mi nauczycielka szkoły haftu i kobiecych robót w Kolea, wskazując mi małą piękność arabską, bo tego lata już ją zawoalują. Kolea to prawie święte miasto: jest tu grób wielkiego marabuta — (nawiasem mówiąc, przekonałam się, że prawie co drugie miasto posiada grób jakiegoś wielkiego marabuta, musiało ich więc być bardzo dużo) — i dziewczęta muszą być wcześniej zawoalowane.

Dobrze, fotografuję piękną Horiję. Co do dam arabskich zawoalowanych, fotografowaćby je można jedynie w bardzo ciemnych ulicach i bez świadków, bo tylko w podobnych razach uchylają wdzięcznie woalu. Zresztą nawet tancerki arabskie, które dość hojnie pokazują swe kształty i które trudno posądzić o pruderję, noszą woale vel haiki.

Zabieram bliższą znajomość z temi paniami na bankiecie, wydanym przez miasto Algier w Kasynie Miejskiem. Bardzo „moderne" gmach i urządzenie, bardzo „moderne" również stół, gdyż większa część potraw szumnego „menu" figuruje jedynie na papierze, ale dla mego paryskiego apetytu aż nadto wystarcza to, co istnieje *in natura*. Po bankiecie wieczór arabski z tancerkami i jakimś słynnym śpiewakiem algierskim. Śpiewak istotnie jest wcale dobry, choć wygląda dziwnie we fraku, i raczy nas piosnką popularną „habiba". Tancerki w liczbie 8 są przeważnie stare i bardzo otyłe, ale ponieważ to ma być „taniec brzucha"... Mają pyszne kostjumy z szerokiemi szarawarami, wszystko błyszczy od złotych i srebrnych haftów, na ramionach masa bransolet.

Podczas krótkiej przerwy zbliżam się do jednej z najmłodszych, smukłej i giętkiej dziewczyny z ogromnemi czarnemi oczami, sztucznie wydłużonemi. Ma na sobie ładny blado-różowy kostjum, zahaftowany srebrem.

— Czy pani mówi po francusku? pytam ostrożnie.

Tancerka uśmiecha się, pokazując olśniewająco białe zęby. Zauważyła, że od czasu do czasu notowałam coś na małym bloczku i widocznie jest tem zaintrygowana:

— Mówię, naturalnie. Co pani chce wiedzieć?

— Chciałabym panią zapytać, gdzie tancerki tutejsze uczą się tańczyć?

— Najczęściej nigdzie. Widzi się tańce w domu, ludowe.

— Nie macie żadnych szkół zawodowych? Nie formujecie baletów?

— Nie. Tańczymy, bo kochamy taniec, bo chcemy tańczyć.

Naprawdę ładna z tym swoim zapałem do tańca młodziutka tancerka. Ale otyłe stare damy, grające główną rolę w tem przedstawieniu, uważają, że zanadto zajmuję się młodą dziewczyną i otaczają mnie kołem, przyczem jedna z nich odznaczająca się szczególnie obfitemi kształtami — prawda, że piękności arabskie niegdyś mierzono na funty — zaczyna mi wykładać w kulawej francuczczyźnie o powołaniu tancerki. Na szczęście kończy się przerwa i przedstawienie oswabadza mnie od okazałych jejmości, rozpoczynających taniec brzucha, dość dziwny dla naszego europejskiego oka.

A po przedstawieniu tancerki wdziewają na europejskie płaszczyki białe haiki i ośm białych cieni wyślizguje się z bramy Kasyna i niknie w głębi aut. Europa i Afryka...

Paryż. *Dr. M. Kasterska*

Z SALONU CZ. GARLIŃSKIEGO



HENRYKA KERNERÓWNA „MADONNA"

„GRUBA BERTA" I CIEŃSZE

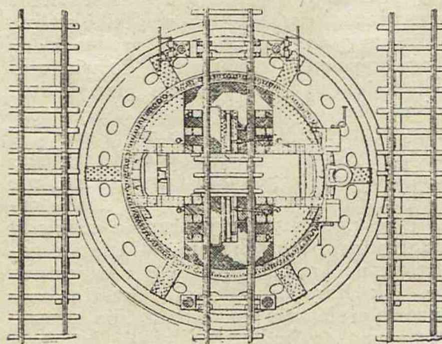
Aczkolwiek wielkie mocarstwa od dłuższego już czasu toczą narady nad ograniczeniem zbrojeń — co ewentualnie, wedle nadziei pacyfistów, w najszczęśliwszym wypadku, w dalszej czy bliższej przyszłości, mogłoby doprowadzić do powszechnego rozbrojenia — nastroje wojenne nasiliły się w Europie bardziej, aniżeli kiedykolwiek w kilku poprzednich latach. Niemcy niedwuznacznie „pobrzękują szabelką", aby wymusić te czy owe ustępstwa, opinja francuska coraz energiczniej domaga się od rządu pogotowia zbrojnego, raz po raz publicyści ujawniają niedyskretnie sensacyjne rewelacje o nowych niemieckich wynalazkach wojennych.

Zwłaszcza te ostatnie wiadomości tembardziej muszą zaciekawiać szeroki ogół, ponieważ istnieją już zastosowywane praktycznie techniczne dzieła, służące wojnie, które jednak po dziś dzień pozostały tajemnicą. Należy do nich w pierwszym rzędzie t. zw. „Gruba Berta", olbrzymie działo, które w dniu 23 marca 1918 roku rzuciło pierwsze pociski na Paryż z odległości 75 mil ang. Ogółem z „grubej Berty", jak wiadomo, padło na stolicę Francji 367 pocisków. Rezultat strzałów zawiódł poniekąd oczekiwania Niemiec; w ciągu pierwszych trzech dni kanonady 58 pocisków zabiło tylko 14 mężczyzn, 11 kobiet i 2 dzieci, zraniło zaś 152 mężczyn, kobiet i dzieci. Jedyny większy efekt fizyczny osiągnął pocisk, który trafił w kościół Saint Gervais, zabijając 88 osób, w tem 67 kobiet. Inne strzały wyrządziły znacznie mniejsze straty, a jedynym ich istotnym efektem był raczej efekt moralny.

Armje sprzymierzeńców zainteresowały się bardzo żywo „grubą Bertą". Ale w chwili rozejmu działo zniknęło z widowni, po zawarciu zaś pokoju zaginęła też bez śladu tajemnica jego konstrukcji, aczkolwiek w traktacie pokojowym domagano się jej wydania. Ostatecznie, zainteresowani musieli zadowolić się przypuszczeniami, opartemi na tych czy owych zasłyszanych szczegółach lub na własnych teoretycznych obliczeniach balistycznych.

Charakterystycznem jest, że właśnie w chwili obecnej, kiedy tak często wspomina się o zbrojeniach Niemiec, zajął się problemem „grubej Berty" jeden z wybitnych fachowców angielskich, Colonel Henry W. Miller i poświęcił tej sprawie obszerniejsze studjum p. t. „Działo Paryża" („The Paris Gun" London Harrap and Co). Na podstawie teoretycznych dociekań oblicza on szczegółowo przypuszczalną długość działa i jego wymiary, wielkość i siłę naboju, wyrzucającego pociski, ciśnienie w lufie, początkową chyżość pocisku i kierunek jego drogi, wysnuwa wnioski o systemie celowania, stara się odtworzyć w rachunku wszystkie szczegóły konstrukcji. Nie wątpi bowiem angielski autor, że w razie jakiejś nowej wojny działo pojawiłoby się znowu na widowni,

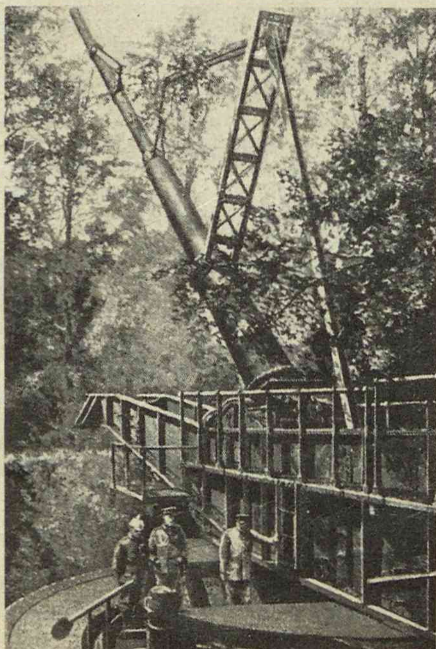




PODSTAWA „GRUBEJ BERTY" WEDLE TEORETYCZNEJ REKONSTRUKCJI H. W. MILLERA

zapewne już w udoskonalonej formie, dzięki poczynionym poprzednio doświadczeniom.

Przewidywania te nie są bynajmniej bezpodstawne, o ile weźmie się w rachubę te wszystkie wieści, które przenikają do wiadomości ogółu, o cichych ukrytych zbrojeniach „rozbrojonych" Niemiec, o ciągłej teoretycznej i laboratoryjnej pracy, której poświęcają się ustawicznie i wojskowi i uczeni, marząc o chwili odwetowej wojny i zwycięstwie. Że w tej wojnie i „grube Berty" wzięłyby udział, można uważać za pewnik.



„GRUBA BERTA" WEDLE ILUSTRACJI W DZIELE H. W. MILLERA

Nie w teorję ale w praktykę wielkich dział wprowadza nas inny autor, amerykanin J. Jones, sprawozdawca wojenny rządu Stanów Zjednoczonych, który niedawno zgromadził ogromny faktyczny materjał, odnoszący się do zbrojeń Ameryki — oczywiście materjał, którego opublikowanie nie kolidowało z interesami władz wojskowych i który nie zawiera wcale tego wszystkiego, co władze te uważają za tajemnicę. — W twierdzy Sandy Hook nad Atlantykiem stosowane były dawniej, wedle relacji J. Jonesa, olbrzymie działa 30-centymetrowe, zmontowane na podstawach cementowych grubości 10 metrów. Obecnie zastępuje się je nowemi działami o średnicy lufy do 40 cm. Działa te niosą na odległość 40 kilometrów, a nastawia się je prawie pionowo, tak by pocisk mógł przebywać większość swej drogi w rozrzedzonych warstwach atmosfery, gdzie dzięki temu napotyka mniejszy opór powietrza. Pociski są bardzo rozmaite, zależnie od celu, ku jakiemu są kierowane; w jednych więc zapalniki są tak czułe, że powodują wybuch, otarłszy się lekko o cośkolwiek, inne muszą uderzyć o płytę pancerną lub mur cementowy, by eksplodowały. To są granice, między któremi mieści się skala pośrednia, uderzenie w zwierciadło wody, w powierzchnię ziemi itp. Działa są różnego typu, służą bowiem bądź jako baterje nadbrzeżne do atakowania zbliżających się nieprzyjacielskich statków, bądź jako kolosy lądowe do walki pozycyjnej.

Ponieważ, jak wspomniano, nośność nowych dział sięga do odległości 40 klm., więc cel, w który pocisk ma ugodzić, znajduje się często o kilkadziesiąt metrów poniżej linji widnokręgu. To też nastawianie działa odbywa się na podstawie wyliczeń matematycznych, wedle danych otrzymywanych od obserwatorów z aeroplanów. Do poruszania i nastawiania służy skomplikowana maszynerja. Oczywiście i Jones także nie ujawnia w swych sprawozdaniach wszystkich szczegółów konstrukcyjnych, ogłasza raczej ogólną charakterystykę nowej broni, aby dać pojęcie obywatelom Stanów o potędze ich państwa.

Si vis pacem, para bellum. Tak rozumują widocznie sztaby wojskowe państw, toczących pertraktacje na temat ograniczenia zbrojeń.

A szeroki ogół, czytając te wszystkie informacje, z coraz większem przerażeniem myśli o obrazie przyszłej wojny.

St. I.



Nazwaliśmy go Don Juanem, chociaż był pucołowaty, stary, łysy, bezzębny i niechlujny do tego stopnia, że raził nawet stałych bywalców knajpki „pod zegarem". Jakaś tragedja kryła się w starokawalerskiem życiu tego człowieka. Pokrywał klęski uczuć dawnych abnegacją kompletną. Ubranie miał zatłuszczone; kołnierzyk i paznokcie zawsze czarne; brudne sznurowadła wlokły się przy obszarganych spodniach i wykrzywionych obcasach. Najbardziej jednak tłusta, zaszargana i niechlujna była mowa starego Dzikskiego. Gdy z krzywym uśmiechem na ustach zaczynał swoje opowieści, pochylając się ponad kuflami piwa w stronę słuchaczów, wtedy nowicjusze dostawali wypieków, wymalowana i wycwaniona kelnerka uciekała zasromana w kąt mrocznej sali, a my pokładaliśmy się ze śmiechu. Najohydniejsze porównania, najbardziej plugawe epitety, pełne cynizmu szczególiki splatać umiał Dzikski w tak nieoczekiwane i oryginalne formy, że — mimo wszystko — słuchało się dalej.

— I co — i co pan zrobił dalej? — pytali niecierpliwsi.

Dzikski wlepiał w każdego po kolei swoje wybałuszone, niebieskie oczy, zapalał papierosa i kończył jakimś kapitalnie brutalnym akordem, po którym śmiał się głośniej, niż przerażeni słuchacze, przytem prychając śliną na wszystkie strony. Widowisko było wspaniale wstrętne.

Jedynym tematem chełpliwych opowiadań Dziskiego była kobieta.

— To straszne... bydlę — ten wasz Don Juan — powiedział kiedyś młody student, asystujący całej kompanji i w ten sposób Dzikski już na zawsze został nazwany Don Juanem. Przezwisko najwidoczniej go zadowoliło i napełniło jeszcze większą swadą oratorską. Przyszedł taki czas, że nasz Don Juan poprostu jakby oszalał w wynajdywaniu coraz okropniejszych tematów i używaniu zgoła niemożliwych określeń. Było to najprawdziwsze opętanie nienawiści, kierowanej na rodzaj niewieści. Być może — Dzikski biczował w ten sposób swoje własne, wciąż niezatarte wspomnienie. Być może, uderzał w jedną jedyną kobietę, ukrytą poza bohaterkami opowiadań, lub też usprawiedliwiał — jak mógł — swoje bezrodzinne, osamotnione życie — i jakieś swoje dawne grzechy. Dość że — pewnego razu — uczucie ohydy ogarnęło naraz wszystkich — śmiechy nagle umilkły i kilka osób manifestacyjnie wstało od stolika. Dzikski nadaremnie oczekiwał zwykłego wybuchu trywialnej wesołości, wodząc zdziwionemi oczami po tych, którzy spluwając odchodzili i po tych, którzy zostali, patrząc na niego z niechęcią.

Zaległo przykre milczenie.

— To — to już zanadto — rzekł ktoś.

— Prawdziwie mówiąc — świństwo: — potwierdził drugi.

Don Juan rozpromienił się, jakby oczekiwał takiego właśnie wrażenia.

— No i cóż — panowie? — rzekł spokojnie, popijając z kufla — tak zrobiłem — i już — czegoście zbaranieli?

— Pan nie zrobił tego! Pan byłby ostatnim podlecem, gdyby pan tak postąpił! — wybuchnął student.

— Dlaczego — pytam, dlaczego? — pytał Dzikski z humorem — zaręczam panu, że było bardzo przyjemnie!

— Ależ to dziecko jeszcze! Jakże można!

Don Juan uśmiechnął się z wyższością i zarechotał.

— No! proszę panów! przecież to jest podłość!!

— Dlaczego? Niech pan pomyśli, coby z niej wyrosło — prędzej — czy później — wszystkie one zresztą — — a takie młodziutkie właśnie są najlepsze...

I Dzikski dokończył bardzo dobitnie i bardzo sprośnie.

Słuchali go i później, w zimowe wieczory, ochłonąwszy z oburzenia i wstrętu. Ale tego dnia odeszli wszyscy i zostaliśmy z Dzikskim we dwójkę.

— No a pan — czego? Nie idzie pan z nimi?

— Nie, zostanę z panem —

— Przez litość dla mnie starego i samotnego, czy przez literacką ciekawość?



— Przez ciekawość i sympatję dla pana..

— Tra - la - la — powiedział Dzikski — co do sympatji, to jej od mężczyzn nie pragnę, a co do ciekawości — no — o cóż panu chodzi? Zrobiłem tak, jak mówiłem — i już! Dziewczyna bardzo mnie wdzięcznie wspomina — mówię panu!

Zacmoktał w sposób nieprzyjemny.

Wtedy zacząłem mówić:

— Panie Dzikski — nie o to mi chodzi. Słucham pańskich opowiadań od trzech miesięcy. Nagadał pan wiele, a ja liczyłem. Wie pan — co liczyłem? Rachowałem — ile też przygód i romansów pan ma na sumieniu. No i narachowałem około setki.

— Więcej — rzekł poważnie Don Juan — daleko więcej.

— No, więc! Były tam i damy z towarzystwa i pokojówki i uczenice i modystki i panny i mężatki i studentki i nauczycielki i stare panny i dojrzałe kobiety i dzieci nawet... Były brzydkie i ładne i zmysłowe i poczciwe i niewinne i doświadczone i dobre i przewrotne — i tak dalej — tak? najróżniejsze? —

— Nie panie — wszystkie one w gruncie rzeczy jednakowe! — odrzekł Dzikski i spojrzał zamglonym wzrokiem w taki sposób, jak patrzy się w daleką przeszłość.

— No tak — jednakowe — przypuśćmy — ale różne — chociażby spotykane w różnych okolicznościach.

— Nie panie — zawsze w tych samych okolicznościach.

Wychodziliśmy i odprowadziłem Don Juana aż do jego mieszkania — stęchłego i ciemnego pokoiku na parterze. W drodze rozwijałem swoją myśl.

— Więc panie Dzikski, chodzi mi o to — chcę wiedzieć — jak pan zdobywa takie powodzenie? Bądźmy szczerzy. Pan oczywiście — ma wszystkie dane, żeby się podobać — ale pan sam przyzna — —

— Nie, panie — nie mam żadnych danych! Nie mogę podobać się żadnej kobiecie — dziś! Dawniej — o dawniej — byłem naprawdę przystojny.

Uśmiechnąłem się mimowoli, tak trudno było sobie wyobrazić Dzikskiego — przystojnego.

— Nie wierzy pan?

Tu Dzikski poszukał w portfelu i wyciągnął starą fotografję. Miła, istotnie pociągająca, chłopięca twarz uśmiechnęła się do mnie.

— Taki byłem...

— To pan?

— No, cóż się pan dziwi! To ja! O — tu jest jeszcze data, napisana ręką mojej nieboszczki — — matki —

O matce Dzikski wspomniał po raz pierwszy. I znów było dziwne, że ten człowiek bez czci i sumienia musiał przecież mieć matkę.

— No — powiedziałem — już się nie dziwię! Pan był naprawdę przystojny i

kobiety musiały wówczas lecieć na pana —

— Nie, panie! Wówczas ja nie szukałem kobiet. Szukam i znajduję dopiero w ostatnich latach — kiedy stałem się taki — ot — taki —

Dzikski dotknął ręką spoconej łysiny i obnażył w uśmiechu resztki czarnych zębów.

— Jakże pan to robił?

— To bardzo proste — ożywił się Dzikski. — Niech pan posłucha i zważy. Warszawa ma miljon mieszkańców, czyli powiedzmy jakieś 150.000 rodzin. *Sto pięćdziesiąt tysięcy* — pan rozumie? Teraz proszę zważyć, że — lekko licząc — z tych stu pięćdziesięciu tysięcy mężów, ojców, braci, żon czy córek — połowa nie należy do ideałów. Mężczyźni piją, grają w karty, zdradzają, kobiety — to samo. Jednem słowem liczę, że w takiej przeciętnej polskiej rodzinie wypada jedna awantura na miesiąc — przynajmniej. Na tym obrachunku opieram swoje powodzenie. —

— Jakto?

— Nie rozumie pan? W rodzinie jedna wielka awantura w miesiącu, to dwanaście rocznie, a ponieważ źle żyjących rodzin jest — powiedzmy — 75 tysięcy, więc wypada rocznie awantur okrągło 900.000 — a odliczywszy letnie miesiące, kiedy ja wyjeżdżam na wieś — dziennie 3.000. Słyszy pan? *Trzy tysiące* awantur dziennie! (Dzikski aż się zapalił). Znaczy to powiedzmy — że jakieś parę tysięcy kobiet — i mężczyzn — wypada po desperacku codziennie z domu na ulicę... Ale ja mężczyzn nie szukam! Więc teraz cała sztuka polega na tem, żeby w tłumie ulicznym wyłowić jedną — oczywiście ładniejszą kobietkę — która w strapieniu błąka się — bez celu. Jakaś córka, która uciekła z domu, jakaś mężateczka rozżalona bezgranicznie na męża, jakaś służąca, wypędzona na łeb na szyję bez wymówienia, wreszcie czasem



jakaś zredukowana maszynistka, lub bezrobotna mereżkarka... Chodzi sobie takie biedactwo żałosne i smętne i niewiedzące — co robić z sobą... Wtedy starszy jegomość — taki jak ja — podchodzi, pociesza, wypytuje, *rozumie ją*. Ot i wszystko. Dalszy ciąg — wiadomy! Cała sztuka, żeby wypatrzeć, poznać — a reszta — to fraszka. — On jeden mnie zrozumiał — myśli sobie kobieciątko — i z samej wdzięczności...

Nie powiedziałem Dzikskiemu, że niesłychanie brzydka i wstrętna wydała mi się jego taktyka żerowania na cudzych nieszczęściach. Kiedyś musiał i tak nadejść kres tym oryginalnym praktykom warszawskiego Don Juana. Kres istotnie nadszedł. Dzikski umierał z przepicia i wezwał mnie do siebie.

— To — daj pan — mówił z trudem — takiej nieszczęśliwej — straciła męża i rodziców — samotna — chodzi biedulka — cała w żałobie — poznałem ją niedawno — nazywa się — —

Wskazał ręką kartkę z adresem i paczkę banknotów.

— Biedactwo — szczerze mi jej żal — pokochałem ją naprawdę—mówił jeszcze. Z myślą o tej nieszczęśliwej umarł samotny wśród nocy.

Poszedłem z kartką i pieniędzmi zaraz nazajutrz.

W nędznem mieszkanku na przedmieściu znalazłem uróżowaną, wyondulowaną dziewczynę. Otwierała sama drzwi i bynajmniej nie zdziwiona, poprosiła, żebym usiadł na czerwonej kanapie.

— Kto panu dał mój adres? — spytała zalotnie i zapaliła papierosa.

— Proszę pani — skierował mnie tu ktoś — ale to jednak nie o panią chodzi. —

— A o kogóż?

Powiedziałem, że szukam nieszczęśliwej, pogrążonej w rozpaczy żałobnicy.

— No — to ja! Doskonale! Dobrze trafiłeś *kotusiu!*

Ze zdziwienia wstałem. Powoli tajemnica się wyjaśniła. Wesoła dziewczyna przemieniała się wieczorami w smutną. Czarny welon wisiał na krześle.

— Mam w ten sposób większe powodzenie — tłomaczyła się dziewczyna.

Opowiedziałem jej, z czem przyszedłem.

— Ten stary umarł? Ach, głupi był — ale poczciwy! Tyle mi dawał pieniędzy! Tak użalał się nademną! Aż się nieraz uśmiałam!

Rozpłakała się teraz z rozczulenia.

— Ten pan miał prawdziwie dobre serce! — powiedziała wśród szybko schnących łez.

Wzięła na siebie swój czarny, żałobny strój. Pieniądze troskliwie schowała. Wprawnie upudrowała się.

— Pójdę do niego tak, jak przychodziłam zawsze — w żałobie — powiedziała — no — ale ktoby myślał! Proszę pana — czy to nie dobry pomysł — taka żałoba? Sama to wymyśliłam! Teraz ciągle do mnie ktoś podchodzi... no chodźmy! Ale panu nie podobam się, co? Niech mnie pan odwiedzi kiedy — najlepiej rano... zobaczy pan — jaka jestem...

Taka była ostatnia i prawdziwa miłość warszawskiego Don Juana.

Po trzęsieniu ziemi w Japonji. Ulicami Tokio przeciągają pochody kwestarzy, nawołując obywateli japońskich do składek i ofiar na rzecz bezdomnych i głodnych.

(u dołu z lewej)



Studenci japońscy witają swego cesarza. W szeregu, trzeci od prawej strony, stoi brat cesarza, Ks. Anichibu

(u dołu z prawej)



Żony ministrów japońskich na kursie gospodarstwa domowego, aby przeprowadzić racjonalną oszczędność gospodarstwa domowego i tem samem podnieść do równowagi budżetowej zniszczoną kataklizmem Japonję. Na zdjęciu: p. Inone, żona min. skarbu, ks. Watanale, żona min. sprawiedliwości, p. Abe, żona min. spraw. wojsk., p. Adachi, żona min. spraw wewn.



W KRAINIE





WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA

FL

Rys. I. Kuczborska.



Feralny dzień

Wszedłszy do kawiarni o *klubowej* godzinie, stanąłem zdumiony w progu *klubowej* wnęki.

Przy *klubowym* stoliku siedział samopas Karol, zawzięcie gryzmoląc coś w notesie. Zdzisław z Ludwikiem, grobowo milcząc, grali w kącie w szachy. Andrzej w drugim kącie samotrzeć oglądał zagraniczne ilustracje. Pod lustrem zaś tkwił samoczwart Mieczysław, zapatrzony w sufit, jak w ekran.

— Witam was, kwirici! — począłem djonizyjsko i umilkłem, niczem kwietny pączek, zwarzony lodowatym podmuchem zimy.

Lodem bo powiało na mnie od wszystkich stolików. Nikt nie odrzekł słowa, tylko każdy, kiwnąwszy mi ozięble głową, jął się swej poprzedniej czynności.

— Ani chybi, była dyskusja polityczna, — pomyślałem głośno i przysiadając się do *klubowego* stolika, uścisnąłem lewicę Karola, żeby nie widziała tego pisząca wciąż prawica.

— Tu się coś chyba stało? — szeptem już spytałem Karola.

Wymownie kiwnął głową.

— Pożarli się o przekonania? — nie ustawałem.

W elokwentnej odpowiedzi pokręcił głową.

— *Cherchez la femme?* — indagowałem dalej w wytwornem piano.

Demostenes, zaiste, nie potrafiłby milczeć bardziej przecząco, niż to czynił w tej chwili Karol.

— No, więc co? Uroń słowo!...

W tem miejscu wstał Mieczysław.

— Żegnam, rzekł majestatycznie a gremjalnie.

I wyszedł.

— *Au revoir!* — powiedział po chwili (widocznie pod wpływem zagranicznej ilustracji) Andrzej i opuścił pozostałych nie mniej efektownie, niż poprzednik.

I znów, zda się przez wieczność, dzwoniła tragiczna cisza.

— Mat! — mruknął nagle Ludwik, wstał, dodał: — *Adieu!* — — i też wyszedł.

— A niech to wszyscy!... — patrząc na tablicę szachową wymamrotał Zdzisław: — kłaniam się pięknie! — oznajmił nam i nie kłaniając się pompatycznie odszedł.

— Przypuszczam, że ci już teraz nic nie stoi na przeszkodzie, byś mi powiedział, co znaczą te roszady po wszystkich stolikach, ta atmosfera przedhuraganowa...

— Albo przestaniesz mi klektać na głową, albo też odejdę do drugiego stolika... Nie widzisz, że piszę?...

— Piszesz? Przepraszam. Myślałem, że kalkulujesz raty wekslowe.

W tej chwili wszedł Jerzy.

— Jak się masz! — powitał mnie z uczuciem i zwracając się do Karola, spytał go tonem oficjalnym: ty jesteś świadkiem Mieczysława?

— A cóż to pana obchodzi? — jeszcze oficjalniej odreplikował Karol.

— Obchodzi, gdyż jestem świadkiem Andrzeja.

— O ile wiem, to Andrzej prosił na świadka Ludwika.

— Tak jest, lecz Ludwik nie może już być jego świadkiem, gdyż sam jest stroną w stosunku do Zdzisława.

— Od kiedy?

— Od kilku minut. W garderobie przy paltach...

— Wyzwali się? — wetknąłem swoje trzy grosze.

— Wyzwali się... od ostatnich!— Wobec czego prosił mnie Ludwik, bym go zastąpił przy Andrzeju. Musimy tedy najpierw ustalić stronę faktyczną...

— Właśnie protokułowałem ją sobie, lecz nie zdążyłem do tej pory skończyć, bo... — tu błysk z za okularów ku mnie: różne postronne typy ciągle mi przeszkadzały!...

W tym momencie uczułem, że i na mnie zaczyna działać ta bojowa atmosfera.

— Czy nie mógłbyś, — zacząłem narazie z wersalska, nie urągać od „typów", bo ja też literat jestem i również znam inne szpetne „literackie" wyrazy!

Karol przez dłuższą chwilę udawał, że pisze, a potem spojrzawszy na mnie, nagle rzekł:

— Pan, zdaje się, przed chwilą coś mówił, nawpółszanowny panie?...

— A mówiłem, kandydacie na dowcipnisia, że literat częstokroć jest w życiu głupszy od własnych utworów.

— Czy to przyczynek do autobiografji?

— Mój świadek panu odpowie na to pytanie! — i odwracając się omal nie obaliłem Zdzisława, który właśnie powrócił z garderoby.

— Czy nie mógłbyś być moim świadkiem?!... — spytaliśmy się siebie ze Zdzisławem nawzajem a równocześnie...

Potem popatrzyliśmy na siebie... Potem zaczęliśmy się śmiać...

Zachowanie nasze snadź dotknęło Jerzego i Karola, gdyż ukłoniwszy się nam sztywno, niezwłocznie wyszli. W powietrzu nieco zelżało.

— Co tu się właściwie stało? — spytałem po ich odejściu.

— Ano, pożarł się dziś pomiędzy sobą cały klub.

— O co?!

— Bo ja wiem... Tak się to jakoś stało. Mieczysław z Andrzejem zaczęli mówić o polowaniach. Jak wiesz, polowania obecnie są bardzo w modzie...

— Tak. Nawet słyszałem niedawno o takiem, gdzie król polowania miał na rozkładzie kuropatwę i starostę. Ale, wracając do naszych, żaden z nich przecież nie poluje!...

— No tak, ale Mieczysław zachwycał się polowaniem jako typowy snob, a Andrzej potępiał je jako zawodowy pacyfista. I jako pacyfista zwymyślał tamtego i wyzwał go.

— A reszta czemu się poobrażała?

— A bo ja wiem... Jakiś dur nas ogarnął. Ba! i ty przecież szukałeś świadka!

— A rzeczywiście... To już chyba taki dzień.

— Zaraz to sprawdzimy. Piccolo! Przynieś z bufetu „Kalendarz Astrologiczny".

— Aboż oni mają tu coś podobnego?

— Oczywiście. Przecież klijentela tej kawiarni składa się z samej inteligencji. Jakże więc by się obyło bez astrologji.

Istotnie, po chwili Zdzisław już wertował.

— Grudzień... 22-gi... Co takiego?! „Dzień pełen harmonji i współpracy. Dobry dla nawiązywania stosunków z gorzelanymi i osobami wyżej stojącymi." Nic nie rozumiem!

— A zobacz, co jest na 21-ego grudnia?

— 21-szy?... „Podrażnienia. Scysje. Zwłaszcza nie nadaje się do produkcji akrobatycznych..."

— Zgadza się! Mojra wisiała dziś nad nami! Dlatego awantury i sprawy honorowe!

— Ależ przecież dziś na całej naszej półkuli jest 22-gi grudnia!

— Ale nie tu!! I wskazałem palcem wiszący na ścianie kalendarz.

Kalendarz pokazywał 21-szy grudnia!

Los pod figurą piccola zapomniał lub też nie chciał zerwać kartki i czas dla nas stanął!

Kazimierz Wroczyński

LATAJĄCY MALARZ

Wbrew wszelkim pozorom, wbrew logice tytułu, wbrew poprostu elementarnej przyzwoitości — nie będzie tu wcale mowy o profesorze Pruszkowskim. Latający malarz, to całkiem kto inny. A nawet *co innego*. — To książka nieznanego dotychczas na polu literackiem malarza włoskiego, Anselmo Bucci. Autor, który od lat paru pod pseudonimem drukował tu i owdzie swe aforyzmy i impresje, zebrał je w jeden tom, i dał im ten lotny tytuł. Wzniósł się widać odrazu na wyżyny, skoro natychmiast został nagrodzony jedną z kilku włoskich nagród literackich, „Premio Viareggio".

Postaramy się z nim zapoznać. A że aforyzmy i maksymy pisane są dla ludzi inteligentnych, — zaś czytelnicy „Świata" z tej właśnie kategorji wyłącznie się rekrutują, przeto poprzestaniemy na wyłuskaniu z filozofji życiowej Bucciego co najcharakterystyczniejsze powiedzenia, pozostawiając uogólnienia i ocenę cierpliwemu czytelnikowi.

Zaznaczyć należy, iż Bucci, ze skromnością ludziom pewnym siebie właściwą, poprzedził swą książkę trzywierszowym wstępem, w którym mówi: „Ta książka została, w miarę możliwości, przełożona na język włoski przez Gino Scarpa, drogiego mego przyjaciela, któremu na tem miejscu składam najgorętsze dzięki".

Nie trzeba wierzyć malarzom: Bucci pisze po włosku tak, iż mógłby udzielać lekcji stylu niejednemu zawodowemu literatowi.

*

Wielkiemu niepowodzeniu oprzeć się może każdy. Nadludzkiem jest oprzeć się małemu powodzeniu.

*

W każdym młodym włochu zagranicą drzemie Rudolf Valentino.

KAZANIE NA PUSTYNI:

1. Nie unikaj ludzi złych, ale unikaj głupich, — a nadewszystko dobrych.
2. Artysta musi się mylić tonem kategorycznym.
3. Nie szukaj zalet, których w tobie niema. Zrób z twoich wad zalety.

*

Przemyślność tak się ma do talentu, jak sacharyna do cukru.

*

Dzisiaj maluje się w żargonie. Kiedy się żargon zmieni, dzisiejsze malowidła będą niezrozumiałe.

*

Uczeni twierdzą, że samiczki niektórych pająków zjadają swych mężów — artystów. Święcie w to wierzę.

*

Niech twoje życie raczej składa się z rozczarowań, niż z żalów za tem, czego nie było.

*

Dla uszlachetnienia Wszechświata, okrutnego i głupiego, człowiek wymyślił dwa wybiegi: sztukę i litość.

*

Przydział koński na świecie rozłożony jest tak: cztery konie Bazyliki i Colleoni w Wenecji. Gattamelata w Padwie. Marek Aureljusz w Rzymie.

Wszystkie siedem we Włoszech — z tego pięć w Wenecji.

Inne na świecie, to nie konie: tylko czworonogi.

*

Kobiety lecą za artystą, jak dzieci za robaczkiem świętojańskim. Chwytają w garść wstrętnego robaka albo blade światełko, które się kruszy i gaśnie pod palcami.

*

Malarz portretów wie wszystko, jak spowiednik albo lekarz, — ale bez wiążącej go tajemnicy zawodowej. Powinien przeto być człowiekiem uczciwym.

*

Stworzyć styl, — to wykuć nową drogę toporem i oskardem. Naśladować styl — to przebyć tę samą drogę samochodem.

*

Nowoczesnej sztuce malarskiej nie brak inteligencji: brak jej cnoty. Czciłem Sztukę, dopóki wierzyłem, iż wydobywa się ją z przyrody, jak zapach perfum z kwiatu. Potem zauważyłem, że obrazy pochodzą od obrazów, tak jak książki od książek. Perfumy syntetyczne.

*

Człowiek absolutnie szczery w kraju ludzi podstępnych, jest jak dom naroścież otwarty w złodziejskiej okolicy.

*

Samotność daje wrażenie zupełnego bezpieczeństwa. Wyciągasz się nagi w samotności, jak na piasku pustynnego wybrzeża morskiego, gładkiego, zwilżonego przez fale.

*

Artysta jest zawistny, niesprawiedliwy, niewdzięczny. Jest jak „fille mère". Nosi ona w swem łonie dziecię: nie wie, czy je ukrywać czy pokazać. Ma zawsze gotową łzę wstydu i uśmiech. Rzuca wyzwanie każdemu, ale się wszystkiego obawia. Obawia się ze względu na swe macierzyństwo.

*

Urok samochodu: siedzisz, — a jesteś bohaterem.

*

Życie jest, jak rower: utrzymuje się w równowadze, dopóki jest w ruchu.

Południe — to aglomerat rzeczy czystych, brudno utrzymanych. Północ — rzeczy brudnych, utrzymanych czysto. Przez godzinę w Londynie zabrudzisz się, jak przez dzień w Paryżu, jak przez miesiąc w Palermo. A kiedy arab umyje sobie czubek nosa raz jeden w życiu, jest w porządku.

*

Około czterdziestki zaczyna się patrzeć na życie przez właściwą soczewkę.

Przeszły już burze.

Chodnik miejski jest z asfaltu. Róg domu z kamienia. Arcydzieło jest poprostu dziełem, Kobieta Ukochana — kobietą, Sztuka — rzemiosłem, Religja — punktem widzenia, Piękno — modą, Śmierć — wypadkiem, a Życie — przyzwyczajeniem.

Mimo wszystko trzeba jednak oddychać — czyli wierzyć.

KWINTESENCJA:

Życie artysty, śmieszne i bolesne dla tysiąca powodów, ma jedną zaletę: ogranicza do minimum wszelkie rodzaje obowiązków. Jeżeli przynajmniej na to nie może się przydać, staje się nonsensem.

Dlatego artysta powinien być do najwyższego stopnia sierotą, analfabetą, nędzarzem, bezżennym, apolitycznym, ateuszem.

Nie powinien posiadać zegarka, abonamentu tramwajowego, psa, parasola, ogrodu, dzieci nieprawych, rękawiczek, mebli, zapalniczek do papierosów. Nie powinien niczego się spodziewać, niczego się obawiać.

I nie służyć nikomu, nawet samemu sobie.

*

Takie są poglądy Anselma Bucci, malarza, władającego piórem.

Zofia Norblin Chrzanowska

Medjolan.



MÓWIĄ, ŻE...

KAROL HUBERT ROSTWOROWSKI wystawi w Teatrze Narodowym „Przeprowadzkę". Ma to być dalszy ciąg „Niespodzianki", ale stanowi całość samą w sobie. W „Przeprowadzce" znajdziemy dalsze dzieje Antka i Zośki w środowisku tym razem proletarjackiem, w Krakowie. Po obrazie życia wsi ujrzymy życie miejskie. Tytuł sztuki, jak można się domyślać, symboliczny. Autor przedstawia zagadnienie ekspiacji i kończy dramat silnym akordem pozytywnym. Rzecz tym razem bezkrwawa.

W Teatrze Nowym młody autor, RYBICKI, wystąpi z nową sztuką z czasów wielkiej wojny. Po nim wejdzie na scenę „Król Nikodem" F. GOETLA i RAFAŁA MALCZEWSKIEGO.

W Letnim po „Pani Ministrowej" ADAMA GRZYMAŁY-SIEDLECKIEGO idzie STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO „Noc Sylwestrowa", komedja karnawałowa.

Dyr. Szyfman rozpoczął w Teatrze Polskim próby z „Niewidzialnej szaty". Jest to ostatnia komedja WŁODZIMIERZA PERZYŃSKIEGO.

WACŁAW GRUBIŃSKI pisze w tej chwili dwie sztuki. Sztukę historyczną o Katarzynie II narazie odłożył, natomiast kończy komedję współczesną o bogatej plutokracji i o biednej inteligencji. Niedługo też da nam Grubiński nową, właściwie pierwszą powieść. Na czas intensywnej pracy nad nową komedją skrył się Grubiński w willi dyr. Szyfmana w Ząbkach. Ząbkowanie jednak prędko się skończyło. Życie stołeczne i związane z nim kłopoty i zgryzoty nie pozwoliły na dłuższe samotne rozmyślania w ciszy leśnej.

PIOTR CHOYNOWSKI, z wykształcenia historyk, poświęcił się z upodobaniem studjom nad wiekiem XVIII-ym. Ten rasowy, pasjonujący i subtelny pisarz świetną swą prozą wysunął się na jedno z czołowych miejsc naszego powieściopisarstwa. Jego „Młodość, miłość, awantura" w ciągu trzech miesięcy rozeszła się w niewiarogodnym w naszych stosunkach nakładzie 15.000 egzemplarzy. Obecnie pracuje nad tomem nowel historycznych, przeważnie z XVIII-go stulecia. Uzupełnią one książkę „O pięciu panach Sulerzyckich". Nadto autor „Kuźni" nosi się z zamiarem napisania fundamentalnej powieści o społeczeństwie polskiem w okresie od powstania 63 roku do r. 1905.

STEFAN KIEDRZYŃSKI, jeden z najpopularniejszych naszych autorów dramatycznych, autor 16 sztuk teatralnych, 10 powieści, niezliczonej ilości nowel, feljetonów, jednoaktówek — złożył dyr. Szyfmanowi nową trzyaktową komedję. W Wielkopolskiej Księgarni Nakładowej lada dzień ukaże się jego powieść p. t. „Małpa do zabawy", drukowana w lecie w „Kurjerze Czerwonym".

STANISŁAW SZPOTAŃSKI, historyk, essay'ista, powieściopisarz i autor dramatyczny, rozpoczyna druk powieści p. t. „Czerwone zapusty", którą zamknie cykl powieści historycznych: „Bez słońca", „Odloty", „Synowie klęski", „Prometeusze". Cykl ten obrazuje dzieje i ludzi 1831 roku. W setną rocznicę powstania listopadowego staje się ten cykl niejako hołdem dla bohaterów rewolucji.

WINCENTY RAPACKI, autor dramatyczny (38 sztuk granych z powodzeniem w różnym czasie w Warszawie), jednocześnie aktor, kompozytor, muzyk — człowiek o fenomenalnej pracowitości, świeżo napisał współczesną komedję p. t. „Cichy wspólnik". Występują tutaj: mąż, żona i przyjaciel, co atoli nie stanowi wcale trójkąta małżeńskiego. Tytułowe role mają objąć pp. Ćwiklińska i Fertner. Do spółki z Jerzym Leszczyńskim (cóż za bajeczna sensacja), pisze dla dyr. Szyfmana krotochwilę p. t. „Za blondynką w ogień". Trzecią sztukę kończy.

EUSTACHY CZEKALSKI, autor „Prostych Dróg", „Milczących Młynów" i ostatniej, niewątpliwie najlepszej jego powieści „Szeroki Dunaj", nie lubi zwierzać się ze swych planów i zamierzeń. Kilka tomów jego krytyk literackich oczekuje na wydawcę. Niebawem ukaże się tom nowel Czekalskiego p. t. „Duży wójt i mały Wojtuś", a później powieść współczesna.

JAN PARANDOWSKI, autor „Antinousa w aksamitnym berecie", „Aspazji", „Dafnis i Chloe", „Dwuch wiosen", „Erosa na Olimpie", „Mitologji", „Rzymu Czarodziejskiego" i wreszcie najlepszej tegorocznej powieści — „Króla Życia" — przygotowuje nową książkę o greckich igrzyskach olimpijskich. Pisze pozatem i zbiera materjały do obszerniejszej powieści z życia cesarstwa rzymskiego. Ostatnio wyszedł w „Roju" przekład Parandowskiego „Szkoły Serc" Flaubert'a, a u Mortkowicza ukazuje się pod jego redakcją zbiorowe wydanie pism Anatola France'a.

JÓZEF RELIDZYŃSKI, poeta i nowelista, po dość długotrwałem milczeniu puszcza w świat nową książkę. Będzie to zbiór opowiadań p. t. „Maska z pałacu królewskiego"; wszystkie opowieści na tle historycznem.

W drugiem wydaniu ukaże się niebawem tom opowiadań tegoż autora p. t. „Powrót z tamtego świata".

ALFRED KONAR, zasłużony dziejopis artystyczny salonów przedwojennej Warszawy, świetny autor tak rewelacyjnych w swoim czasie „Sióstr Malinowskich" i tylu innych powieści, drukuje u F. Hoesicka nową powieść p. t. „Ojcowie, my i dzieci".

STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ po świeżo wydanej powieści „Dramat w Ojczyźnie" pracuje nad powieścią p. t. „Skarby Traura". Będzie to niejako reakcja na cudowne, sugestywne wpływy „Szaleństw Almayera". Jednocześnie autor „Grąża" zbiera materjały do eposu międzynarodowego p. t. „Idea Ptaków".

LUCJAN ANDRE po swem ostatniem studjum o Asnyku p. t. „O bezdziejowości w poezji" z przedmową L. Staffa, przygotowuje do druku 4-ty tom poezyj, a także pracuje nad studjum o Wyspiańskim i nad monografją o „Morzu Polskiem".

JULJAN WOŁOSZYNOWSKI, autor „Pana Twardowskiego", zbioru nowel p. t. „Potęga snu" i powieści z życia poety p. t. „Słowacki" — świeżo ukończył powieść z roku 1863. Pierwsza część nosić będzie tytuł „Nie skończona melodja", część druga — „Czarna wieś". Jednocześnie opracowuje literackie opowiadania z historji Polski, ujęte w krótkich, syntetycznych fragmentach.

LEO BELMONT ostatnio wydał książkę poświęconą kwestji sjonizmu i antysemityzmu. Jest to powieść z życia Teodora Hercla, znanego działacza, publicysty i inicja-

AMY JOHNSON W POLSCE





DNIA 4 STYCZNIA R. B., LECĄC Z BERLINA DO WARSZAWY, SŁYNNA LOTNICZKA ANGIELSKA AMY JOHNSON, NA SKUTEK MGŁY ZBŁĄDZIŁA, GDYŻ SKIEROWAŁA SIĘ ZANADTO NA PÓŁNOC I ZMUSZONA BYŁA LĄDOWAĆ W MIASTECZKU KRASNOSIELCE, POW. MAKOWSKIEGO W ODLEGŁOŚCI 90 KM. NA PÓŁNOCO-WSCHÓD OD WARSZAWY. W KRASNOSIELCACH ZNALAZŁA GOŚCINĘ U MIEJSCOWEGO PROBOSZCZA KS. SEREJKI Fot. „Światowid"

tora sjonizmu. Niebawem ma się ukazać drugi tom tej zajmującej książki pod ogólnym tytułem „Mojżesz współczesny".

FERDYNAND A. OSSENDOWSKI, autor „Lenina", na święta wydał u M. Arcta powiastki północne dla dzieci p. t. „Czao-Ra". Lada dzień pojawią się na półkach księgarskich „Gasnące Ognie", duży ilustrowany tom, opisujący ostatnią egzotyczną podróż wielkiego pisarza do Palestyny, Syrji i Mezopotamji, którą odbył w roku 1929. W lutym nakładem Książnicy - Atlas zjawi się nowa powieść historyczna Ossendowskiego p. t. „Zagończyk".

Obecnie wykańcza trzeci tom z cyklu „Na przełomie". Jest to powieść psychologiczna z okresu wojny światowej (1914 — 1918) p. t. „Iskry z pod młota". Dalsze zamiary? Powieść egzotyczna dla młodzieży i powieść egzotyczna p. t. „Człowiek w klatce", którą niebawem zacznie drukować „Kurjer Warszawski".

Debjuty!

A więc TADEUSZ DOŁĘGA MOSTOWICZ, młody, utalentowany satyryk, autor „Ostatniej Brygady", występuje w Teatrze Letnim komedją p. t. „Urlop pana premjera". Ma to być wesoła choć cięta satyra na stosunki parlamentarne. Rokują jej duże powodzenie.

W Teatrze Nowym zadebjutuje ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI, jeden z najbardziej uzdolnionych młodych poetów. Sztuka jego nazywa się „Misjonarz z nad Ubangi, krótka tragedja manekinów". Jednocześnie poeta debjutuje tomem poezji epickiej p. t. „Ludzie wśród ludzi".

E. M. S.

Otwarcie Stylowej Gospody Towarzyskiej w Kamienicy Fukierów na Starym Mieście

W piątek, dnia 2 stycznia 1931 r. o godz. 5½ po poł. przy bardzo licznym udziale doborowego towarzystwa stolicy J. E. Ks. Biskup Sufragan Dr. Antoni Szlagowski dokonał uroczystego poświęcenia i otwarcia Stylowej Gospody Towarzyskiej w historycznych komnatach kamienicy Fukierów przy Rynku Starego Miasta 27, na I-em piętrze, nad najstarszą winiarnią w świecie, istniejącą od r. 1610. Lokal składa się z trzech stylowych komnat: dwie w stylu — Ludwika XVI (jedna posiada oryginalne meble kryte pięknym gobelinem, w drugiej zwracają specjalną uwagę autentyczne malowidła Lampiego z XVIII w.) — trzecia w stylu polskim.

Orkiestra cygańska pod batutą słynnego Marcel Bauda.

Uroczystość otwarcia zaszczycili swoją obecnością: J. E. Ks. Biskup Sufragan Dr. Antoni Szlagowski, przedstawiciele naszej arystokracji (hr. Franciszek Potocki, ks. Franciszek Radziwiłł), członkowie M. S. Z. (syn Pana Prezydenta, radca Michał Mościcki, szef Wydziału Prasowego Leon Chrzanowski), wiele osób z pośród kolonji cudzoziemskiej w Warszawie (ambasadorowa Laroche, poseł węgierski), wojskowi (pułk. Wieniawa-Długoszowski), dziennikarze.

Zebranie w miłym nastroju przeciągnęło się kilka godzin. *J. W.*



TEATR POLSKI • ROMANS • MINISTERJALNY

KOMEDJA w 3-ch AKTACH R. COOLUS'A i A. RIVOIRE'A

PP.: JANINA ROMANÓWNA I B. SAMBORSKI

Fot. St. Brzozowski

PP.: MILA KAMIŃSKA, JERZY LESZCZYŃSKI I B. SAMBORSKI



Drobiazgi teatralne

Paryski teatr „*Gymnase*" wystawił nowy utwór dramatyczny autora „Melo" p. t. „Dzień". Sztuka ta liczy 16 obrazów, układem przypomina silnie scenarjusze filmowe. Bohaterem jest młodzieniec, który podejrzewa swego ojczyma o zamordowanie ojca. Krótko mówiąc, — nowocześnie ujęta historja Hamleta, który nie jest już dziedzicem korony duńskiej, lecz wielkich zakładów przemysłowych we Francji. Krytyka zarzuca dramatowi Bernsteina usilne staranie się o poetyczność, która jednak albo zjawia się spontanicznie, podświadomie, albo zawodzi. Racjonalistyczna umysłowość Bernsteina nie jest glebą urodzajną dla poezji i jego wzloty wyrażają się raczej w kwiecistym werbalizmie, niż w samorzutnem napięciu uczucia. Lecz, jak zwykle, technika sztuki jest interesująca, zaś w tytułowej roli p. Piotr Blancher, oraz jego towarzyszka, p. Gaby Morley, grają z wielką szczerością. Zdaje się, że „Dzień" byłby świetną popisową rolą dla Osterwy.

*

Zdawało się, że filmy dźwiękowe będą się zasadniczo różnić od sztuk teatralnych i pójdą po zupełnie innej linji produkcji, tymczasem okazuje się, że $^{9}/_{10}$ filmów, to przerobione sztuki teatralne. Krytycy angielscy wyrażają obawę, że dźwiękowe filmy już źle oddziaływują na autorów dramatycznych. Mianowicie piszą oni sztuki z myślą, iż będą tłumaczone na kilka języków europejskich i w nadziei, że zostaną przyjęte przez Amerykę jako scenarjusz do filmów dźwiękowych. Wskutek tego zaś obawiają się autorzy rysów nadto indywidualnych i starają się przeczuć życzenia „międzynarodowej publiczności", tego najniższego zbiorowiska ludzkiego.

*

W zastoju, trwającym od pewnego czasu w teatrach londyńskich, nastąpiła zmiana na lepsze. Zmianę tę powoduje staranniej układany repertuar, a głównie powstanie kilku nowych teatrów, których nowoczesne urządzenia dają publiczności większe wygody. Według dziennikarzy londyńskich, rywalizacja z kinem polega nie na tem, że jest ono zabawniejsze, lecz, że jest wygodniejsze.

*

Cztery dramaty Szekspira przetłumaczone zostały na jeden z języków południowo-afrykańskich przez pisarza krajowca, byłego tłumacza na dworze królika murzyńskiego, a obecnie dziennikarza w mieście Kimberley.

*

Biskup Chichester naznaczył byłego profesora dykcji w szkole dramatycznej w U. S. A., p. M. Browne, kierownikiem teatru religijnego w swojej djecezji. Zadaniem jego będzie propaganda sztuk religijnych dla umoralnienia wiernych i dania im godziwej rozrywki. Misji swej ma dokonywać zapomocą odczytów, w których będzie pouczał o pisaniu odpowiednich sztuk, o ich wystawianiu i t. p.

Z OPERETKI WARSZAWSKIEJ



P. Janina Miecz. Orłowska, utalentowana młoda śpiewaczka, występowała z wielkiem powodzeniem w Operetce Warszawskiej w roli głównej w „Ptaszniku z Tyrolu"

UDANA MISTYFIKACJA

Dnia 21 grudnia ub. r. w „Intymnym teatrze" w Pradze czeskiej odegrano sztukę hiszpańskiego pisarza Ramona Gomeza de la Serna pt. „Miłość w niebezpieczeństwie". Krytyka przyjęła tę sztukę bardzo życzliwie. Publiczność zainteresowała się nią bardzo, wypełniając teatr po brzegi. Sukces hiszpańskiego autora uradował też i dyrekcję teatru.

W dziesięć dni później ukazał się w prasie czeskiej list otwarty młodego pisarza p. Emila Synka, w którym wyjaśnił on, iż „Miłość w niebezpieczeństwie" jest jego dziełem. Młody czeski dramaturg przeprasza dyrekcję, krytykę i publiczność za tę mistyfikację.

Czemu to uczynił? P. Emil Synek prostodusznie zadeklarował:

— Inaczej nie wystawionoby mi tej sztuki!

Powołuje się przytem, ile razy musiał kołatać do kierowników teatrów praskich, by uzyskać audjencję, na której stale dowiadywał się, iż... czeskie sztuki nie mają powodzenia. Radzono mu też, by zajął się tłomaczeniem czy adaptacją szlagierów zagranicznych.

Skorzystał więc z tej rady i złożył dyrekcji „Teatru intymnego" sztukę Ramona Gomeza dela Serna. Wnet ją przeczytano i zakwalifikowano do grania.

Mistyfikacja udała się znakomicie p. Emilowi Synkowi!



ALFONS KARNY: AKT



EUSTACHY FIERK: KOMPOZYCJA



B. WOJTOWICZ: POMNIK KOŚCIUSZKI

FORMA
STOWARZYSZENIE RZEŹBIARSKIE

Ilekroć powstaje jakieś nowe stowarzyszenie z inicjatywy prof. Karola Stryjeńskiego (a powstają one jak grzyby po deszczu), stwierdzamy ze zdziwieniem, ile koniecznych i pożytecznych spraw związanych ze sztuką wisiało poprostu „w powietrzu", a trzeba było tylko tej niestrudzonej dobrej woli i inicjatywy, aby je z powietrza ściągnąć i społeczeństwu do rąk oddać. Tak właśnie powstała w ub. roku spółdzielnia rzeźbiarzy „Forma". Z sławnej już dziś pracowni prof. T. Breyera (w Warsz. Szkole Sztuk Pięknych), która, że użyję słów Tytusa Czyżewskiego, „zdobyła najpiękniejsze karty w historji sztuki współczesnej" — wyszedł już dotąd cały zastęp świetnych młodych rzeźbiarzy. Jak długo byli studentami, Szkoła S. P. popierała te talenty stypendjami, nagrodami, urządzaniem wewnętrznych konkursów, otaczała młodą rodzimą rzeźbę jak największą pieczołowitością, gdyż rzeźba w Polsce, poza kilku nazwiskami z ostatniego dwudziestolecia, nie posiada żadnej chlubnej przeszłości, tradycji i własnego oblicza (może jako najbardziej zależna od architektury rodzimej, której nie było danem rozwinąć się pod zaborami obcych państw).

Opuściwszy Szkołę, stanęli młodzi rzeźbiarze przed wielkim znakiem zapytania: — Co dalej? Rozwój rzeźby w wielkiej mierze zależny jest od dobrobytu kraju, a Polska, jako państwo młode i zaniedbane przez najeźdźcę, dotkliwiej niż inne państwa przeżywa przesilenie gospodarcze. Wprawdzie rozpisuje się w stolicy od czasu do czasu konkurs na pomnik, nagrodę sportową czy medal, i w każdym konkursie ogromną przewagę nagród zdobywają ci właśnie absolwenci S. S. P., to jednak *à la longue* takie nagrody nie mogą zapewnić warunków do spokojnego oddania się pracy. Zwłaszcza, że wykonanie nagrodzonych projektów na pomniki odkłada się zazwyczaj z powodu braku środków ad calendas graecas. Prawda, gdzieś po prowincjach stawia się rozmaite pomniczki czy też świątki: wieść o tem dochodzi do stolicy zwykle *post facto*, czyli po wykonaniu i poświęceniu zazwyczaj na nizkim poziomie artystycznym stojącego „wyczynu". I tu powstaje „Forma". Skupia kilkudziesięciu młodych rzeźbiarzy pod opieką Rady Artystycznej, informuje członków o wszystkich konkursach stołecznych i prowincjonalnych, drukuje ilustrowane katalogi i oferty, które dochodzą wszędzie:

K. PIETKIEWICZ: FIGURKA



K. TCHOREK: CERAMIKA DEKOR.



FR. STRYNKIEWICZ: GŁOWA

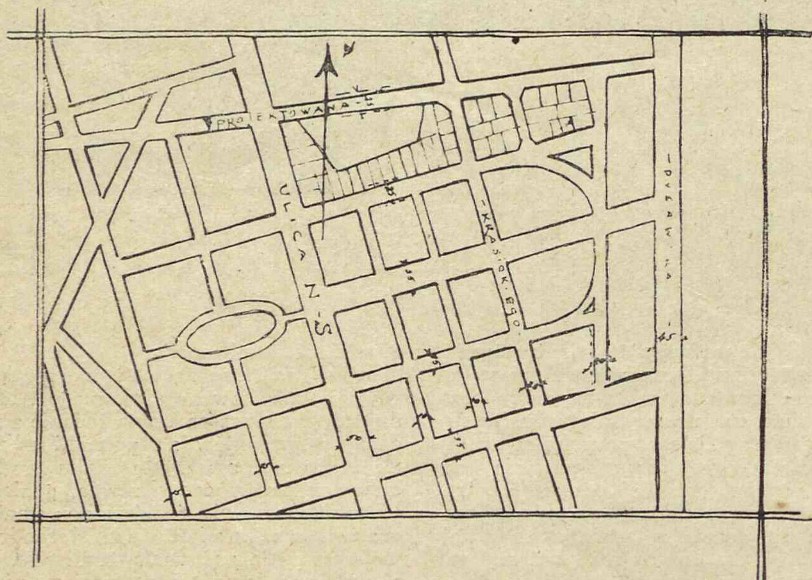


F. L.

tak do naszych placówek zagranicznych, jak i do najciemniejszych zakątków najjaśniejszej Rzeczypospolitej, gdzie jeszcze barok czy „secesja" jest nowalijką „wprost z pod igły"... i — znajduje wszędzie echo... Bo i oni, magistrat tego czy owego miasteczka, jakaś odlewnia figurek bronzowych, jakiś wreszcie komitet uczczenia zasłużonej osobistości czy fabryka nagród sportowych, — nie wiedzieli, do kogo zwrócić się z zamówieniem. — I dlatego po krótkim okresie działalności okazała się „Forma" nader pożyteczną placówką. Pracuje nad podniesieniem poziomu pomników, nagrobków, rzeźby religijnej, nagród sportowych — baczy, by zagraniczną tandetę wypierały dzieła polskich artystów — usiłuje stworzyć dla młodej polskiej rzeźby odpowiednie warunki do normalnego rozwoju.

Na zakończenie przytaczam opinję dyr. Departamentu Sztuki prof. W. Skoczylasa: „Najcharakterystyczniejszym przejawem młodej rzeźby polskiej jest stowarzyszenie „Forma", zorganizowane z pośród absolwentów kursu rzeźby Warsz. Szkoły Sztuk Pięknych. Liczne nagrody zdobyte przez członków tow. „Forma" na różnych konkursach rzeźbiarskich, w których współzawodniczyli z najwybitniejszymi rzeźbiarzami starszego pokolenia, świadczą o wysokich walorach młodych rzeźbiarzy, którzy łączą swój świeży talent z wiedzą i kulturą rzeźbiarską".

Julja Keilowa



Typowy obraz kolonji warszawskiej: szachownica rozplanowania taka sama, jak w śródmieściu, pomimo że gęstość zaludnienia różni się przeszło dziesięciokrotnie. Szerokość ulic dochodzi tam do 35 metrów, podczas gdy na Zachodzie toczą się obecnie spory o zwężenie mieszkalnych ulic w kolonjach z 9 do 5, a nawet 3 metrów! W rezultacie, w naszych kolonjalnych „pohulankach" roztrwania się bezpowrotnie jedną-trzecią kosztownego terenu z wszystkiemi takiego marnotrawstwa konsekwencjami

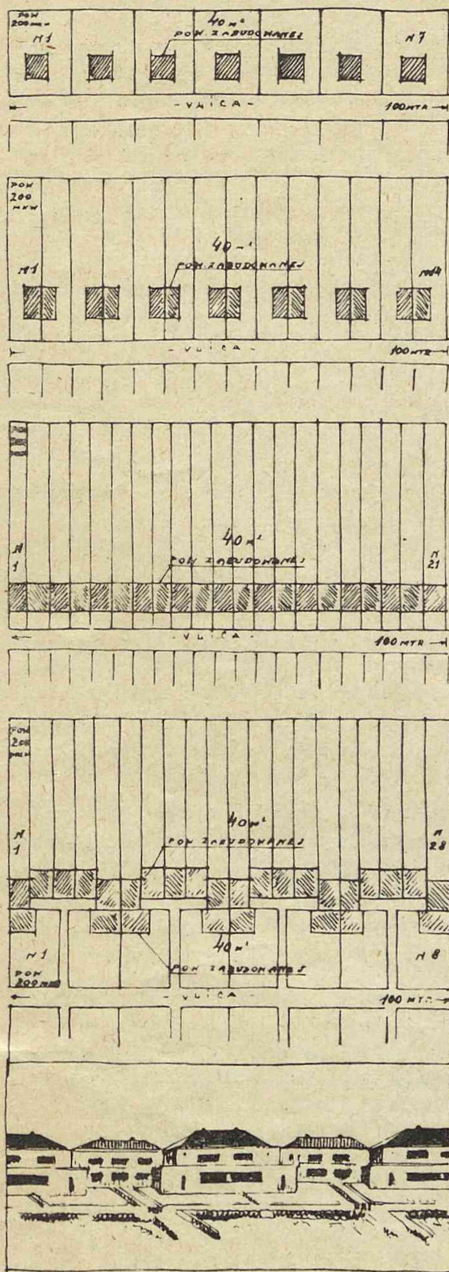
POHULANKI KOLONJALNE

Twórcom „pohulanek" na Staszycach, na Profesorach, Pożalsiębożu, na Młocińskich i innych sadybnych pomysłach — w hołdzie.

Niewątpliwie najskuteczniejszym ratunkiem przed mizerją mieszkaniową w koszarowych kamienicach śródmieścia jest ucieczka do własnego ogniska domowego w kolonji mieszkaniowej pod miastem. Urok posiadania domu-mieszkania, przystosowanego do indywidualnych upodobań i potrzeb, z mnóstwem słońca i wolnej przestrzeni, zdala od zgiełku ulicznego — to cena, za którą istotnie warto się wyrzec dobrodziejstw śródmieścia i tracić czas i pieniądze na uciążliwe przejazdy do oddalonych ośrodków pracy i interesów. — Jednak sam fakt posiadania złego mieszkania w śródmieściu, a nawet zupełny brak dachu nad głową nie jest jeszcze glejtem, wprowadzającym do arkadji mieszkaniowej w kolonjach podmiejskich. Aby tego rodzaju zawrotny skok z nędzy do blasku nie skończył się karkołomnie, trzeba go przygotować niezmiernie przezornie i skrupulatnie pod względem finansowym, budowlanym a nadewszystko regulacyjnym, t. j. rozplanowania upatrzonej na kolonję dzielnicy.

Warunkiem egzystencji upragnionych kolonji, a nie rozszastanych pohulanek, jest podstawowe założenie, iż *jednomieszkaniowy domek może być dobrze i niedrogo wybudowany tylko wówczas, o ile jest postawiony na tanim placu.* Dlatego umiejętny i rozumny urbanista, zanim wetknie nos w papier i weźmie ołówek do ręki, mozolnie obejdzie tereny przyszłej kolonji, popatrzy w niebo i zlustruje ziemię, wciągnie w płuca rzetelną porcję miejscowego powietrza, dobrze zauważy, jak tam słońce wschodzi i zachodzi, zorjentuje się, skąd wiatr wieje, ale w dosłownem tego znaczeniu, poczem przysięgnąwszy, że nie będzie robił głupiej minjatury wielkiego miasta — zabierze się do rysowania ulic i przykrawania działek budowlanych. Rozumiejący swą misję i zadanie planista ani na chwilę nie zapomina, że każdy metr terenu niepotrzebnie oddany ulicy, to podrożenie działek budowlanych, zmniejszenie ogólnej powierzchni ogrodów, powiększenie kosztów budowy i konserwacji ulicy oraz zaopatrzenia jej w kanalizację wodociągi, oświetlenie i t. p. inwestycje. Taki planista unika również wszelkich nieistotnych krzywizn i wiwijasów i nie projektuje w kolonji placów, skwerów i innego masła maślanego, gdyż rozumie, że poszczególne ogrody tworzą w sumie całość, która takiego kosztownego i zbytecznego kramu zupełnie nie potrzebuje. Jasnem tedy jest, że w kolonji mieszkaniowej powinna być *minimalna ilość ulic obsługujących maksymalną ilość posesji.* Stąd wynika kształt działek — długi a wąski, dzięki czemu linja zabudowy może być cofnięta daleko od ulicy i, w rezultacie, przeciwległe domy są znacznie od siebie oddalone, pomimo że ulica jest wąska. Ulica w kolonji ma ściśle ograniczone zadanie dać mieszkańcom dostęp do domów. Ruch uliczny jest tam żaden: raz na dzień zaturkocze wózek mleczarza, piekarza lub innego dostawcy, raz na rok zajedzie wóz z meblami, czasem zazgrzyta jakiś fordzina. Stukonne limuzyny tam się nie mijają, więc rzadko ukazujący się na ulicy mieszkańcy nie korzystają ze zbytecznych chodników i — bez obawy przejechania — chodzą sobie wygodnie samym środkiem ulicy.

W ten sposób potraktowana kolonja mieszkaniowa nie jest jednak obrazem ubóstwa czy przesadnej oszczędności, podobnie jak kolonje warszawskie, z całym nonsensownym aparatem różnych placów i ulic szerszych od Marszałkowskiej, bynajmniej nie są dowodem zamożności miasta, ani nie stwarzają widoku wspaniałego. Przeciwnie, nawet laika uderza i zadziwia anty-



Na stumetrowym odcinku ulicy można umieścić 7 — 14 — 21 lub 28 posesji o powierzchni 200 mtr. kwadratowych — zależnie od rozplanowania. Powierzchnia zabudowana we wszystkich wypadkach jest jednakowa i wynosi 40 mtr. kwadr.

patyczna martwota labiryntu niepotrzebnych ulic, stwarzająca nudny, brzydki i drażniący swą bezużytecznością obraz. — Jedna-trzecia roztrwonionego na nieużytki terenu zrujnowała tych, co usiłowali realizować tam swoje złudzenia i zrujnowałaby zasoby miasta, gdyby zdecydowano się istotnie te wszystkie nonsensy urbanistyczne urzeczywistnić.

Przypuszczalnie jednak Magistrat, nauczony doświadczeniem piekarni miejskiej, cegielni i innych imponujących zamierzeń — wycofa się z lekkomyślnej imprezy. Płakać będą inni.

w. m. ski.

Dookoła Filharmonji Warszawskiej

Od kilku tygodni toczy się w prasie warszawskiej ożywiona dyskusja na temat losów Filharmonji Warszawskiej, zagrożonej w swej działalności muzycznej. Instytucja ta, założona przed trzydziestu laty przez grono muzyków i obywateli, z Paderewskim, Hoffmanem, Kronenbergiem, ord. Zamoyskim na czele, miała być świątynią muzyki polskiej. Założyciele Filharmonji dali się łatwo przekonać, że Warszawa jest stolicą bardzo muzykalną, więc zdoła utrzymać wielką orkiestrę i wybitnych kapelmistrzów. Niestety, złudzenie to trwało przez kilka lat zaledwie. Prowadzona bardzo rozrzutnie, Filharmonja dawała wspaniałe koncerty, nie prowadziła jednak systematycznego kształcenia muzycznego publiczności warszawskiej. Pomimo olbrzymich ofiar jednostek, pozbyto się utrzymywania orkiestry i zarząd Filharmonji objęła Spółka Akcyjna, wobec której główni wierzyciele, ordynat Zamoyski i bar. Kronenberg, zrzekli się własnych należności. Wypuszczone w r. 1921 akcje drugiej emisji pozostały w bardzo znacznej części w kasie Zarządu Spółki, która nie ma nic wspólnego z założycielami Filharmonji. Natomiast — jak piszą oskarżyciele — zarządowi Spółki chodzi nietyle o kulturę muzyczną Warszawy, ile o dochody z gmachu. Zarząd udzielił wprawdzie orkiestrze prawa korzystania z sali Filharmonji na jeden koncert symfoniczny i jeden popularny w tygodniu, ale jednocześnie tenże zarząd rości sobie pretensje do kierowania organizacją muzyczną koncertów. Dyrektor Akademji Muzycznej K. Szymanowski oświadczył publicznie, że zarząd Spółki rzucił na niego „uroczystą anatemę i bez ceremonji skazał na banicję z pięknego gmachu Filharmonji" wszystkie jego „Stabat Mater", „Veni Creator", „Święty Boże" i „Św. Franciszków".

Łatwo zrozumieć, że wszystkie te rewelacje wywołały nie tylko w świecie muzycznym warszawskim, ale w całej opinji kulturalnej Warszawy wielki niepokój. Wprawdzie Zarząd Filharmonji odpowiedział „na artykuły w prasie" zapewnieniem, że są to tylko „tendencyjne alarmy", gdyż głównym celem Zarządu „było i jest popieranie orkiestry symfonicznej a poza tem szerzenie i popieranie kultury muzycznej przez urządzanie konkursów muzycznych, wydawanie utworów kompozytorów polskich i t. p." Ale zapewnienia te nie uspokoiły wzburzonych umysłów. Niektóre pisma żądają interwencji rządowej, a dyr. K. Szymanowski, broniąc praw orkiestry symfonicznej, pisze: „My — muzycy polscy, oceniając jaknajgłębiej jej ofiarną, wytrwałą, w jakże ciężkich moralnych i materjalnych warunkach prowadzoną pracę, mającą na celu jedynie świetność i chwałę muzyki polskiej, staniemy murem w jej obronie i przeciwstawimy się również kategorycznie wszelkim zakusom na stan naszego posiadania".

Cała sprawa jest smutną zapowiedzią dalszego upadku kultury muzycznej w Warszawie: od września ma być zamknięta Opera, teraz rozpoczął się zamach na orkiestrę symfoniczną... Po cóż, wobec tego, zamieniać Konserwatorjum na „Akademję Muzyczną"?...

alfa.





Piękna suknia z różowej tafty model Domu Mód Bogusław Herse





SPORT i RADJO

Łagodna, późna zima rozpostarła wreszcie po czarnych wygonach swą czystą, bieluchną sukienkę odświętną.

Smutne, popękane zagony równin, łagodne stoki Beskidów, dzikie, ostre szczyty Tatr pokryły się sypkim puchem. Strzeliste świerki, jodły i buki przybrały się w srebrzyste zawoje...

Złote promienie słońca krzeszą w kryształkach śniegu radosne ogniki i odblaski, igrają wesoło na srebrzystej okiści, wlewają strumienie radości i życia w ponury mrok gęstwiny leśnej, w senny smutek parowów...

Ptaki śniegu — narciarze, ziszczając swą wielomiesięczną tęsknotę, pognały w góry, bliżej nieba i słońca.

*

Duża izba narciarskiego schroniska. Półmrok. Migotliwy promień naftowej lampki z trudem przedziera się przez zakopcone szkło, nadaremnie usiłując zwalczyć mrok zaścielający kąty izby.

Na słomianych pryczach odpoczywa kilku narciarzy. Ogorzałe od słońca i wiatru twarze zasnuła mgła rozkoszy odpoczynku i lenistwa po wielkim wysiłku płuc, serca i mięśni.

Zmęczone ręce porzuciły na ławach i stole „rozmemłane" plecaki, „wysuszone" manierki, resztki jedzenia. Przy kominku suszą się swetry, rękawice, wiatrówki.

Nagle ktoś wstał, nie przerywając ciszy. Ujął kopcącą lampkę, podszedł na palcach do wielkiego pudła radjowego, przyczajonego w kącie izby. Jeden, drugi ruch dłonią, kilka przesunięć palcami...

Cichy, pogrążony w półmroku i półśnie pokój nagle ożył. Skoczne, rytmiczne melodje jazz-bandu zawirowały po izbie.

Kraków, potem Warszawa, po chwili Wiedeń...

Zerwali się narciarze. Zbudziła się młodość i werwa.

— Dość snu, tańcujmy!

Zawirowały w takt dźwięków pary. — Zagorąco! Powietrza! Otworzyć okno!

Do izby wdarła się fala przemrożonego, suchego powietrza. Jaki pyszny, rzeźki ten czarodziejski balsam gór, świetnie „masujący" płuca obfitością tlenu.

*

Sport i radjo podały sobie ręce pod ośnieżonemi szczytami Tatr, przy smętnym poszumie jodeł i smereków, wśród przecudnej panoramy gór.

Tutaj radjo przyszło do sportu, ułatwiło zawodnikom odpoczynek, pobudziło ich do czynu, dodało werwy, uprzyjemniło senne i nudne godziny zimowego wieczoru.

*

Sport i radjo. Zdawałoby się, że to dwa zupełnie przeciwne bieguny, między któremi nie można w żaden sposób nanizać nici wspólnoty i porozumienia. Niezwykła wszechstronność radja wywiązała się jednakże i z tego trudnego zadania z tryumfem.

Radjo styka się ze sportem nietylko w izbie narciarskiego schroniska, nietylko na gigantycznej skoczni na Krokwi, skąd cała Polska słucha najlżejszych szmerów z sercem wzruszonem oczekiwaniem i nadzieją zwycięstwa Polaków.

Tysiące radjo-słuchaczy, rozsianych po całym kraju, nie mogąc patrzeć własnemi oczami na przepyszne ewolucje ptaków śniegu, nakłada słuchawki na głowę i śledzi z zapartym oddechem przebieg zawodów, wsłuchując się w każdy stukot narty, opadającej na biały zeskok ośnieżonej Krokwi.

Ten sam mikrofon opowiedział tym, którzy nie pomieścili się na stadjonie NZS'u w parku Paderewskiego podczas meczu Nurmi — Petkiewicz, jak biegł wielki Finn i w jaki sposób zwyciężył go nasz znakomity rodak. Radjosłuchacze słyszeli krótkie, jędrne przemówienie największego sportowca świata, słyszeli huragan braw i drżący ze wzruszenia głos speakera, w chwili, gdy po emocjonującym przebiegu zwiastował radosny koniec walki.

Cudotwórcze fale radjowe pozwoliły radjosłuchaczom w roku bieżącym przeżywać chwile tryumfów i porażek na stadjonie hippicznym z Łazienkach, w czasie międzynarodowych konkursów hippicznych: 31.V. — 10.VI. Radjo doniosło amatorom sportu konnego i... hazardu o emocjonującym przebiegu wyścigu i niespodziewanym tryumfie konia 17 pułku ułanów „Bejruta" w biegu Derby 15 czerwca r. b.

Mikrofon obwieścił sympatykom białego sportu wyniki ciekawego meczu tennisowego Polska — Japonja (12, 13 i 14 sierpień), czuwając nad najsubtelniejszemi drobiazgami spotkania, informując dokładnie, rzeczowo i natychmiast.

Cudotwórcze fale radjowe pozwoliły przeżywać całej Polsce wspaniałe, pełne dramatycznego napięcia, chwile walki i niespodziewanego zwycięstwa naszych pływaków nad reprezentantami Czechosłowacji (24 sierpnia, zwyciężyliśmy 51 : 50).

Mikrofon błądził po bieżni i boisku, transmitując nastrój widzów i zawodników w czasie trójmeczu Nurmi — Petkiewicz — Kusociński (19 września), zakończonego wspaniałym rewanżem Finna i znakomitym rekordem Kusocińskiego.

W dwa dni później radjo obwieszczało całej Polsce i zagranicy tryumf Petkiewicza nad znakomitym „miler'em" Szwecji — olbrzymim Kraftem, zwycięstwo Kusocińskiego nad sławnym Pettersonem.

Ciekawe międzynarodowe zawody kolarskie na Dynasach (21 i 23 września) z udziałem takich sław, jak mistrz świata Beaufrand (Francja), Cozens (Anglja), van Massenhove (Belgja), Szamota (Polska) oraz mecz lekkoatletyczny pań Polska — Japonja (11 września) — to dalsze ogniwa bratania się radja ze sportem.

Idźmy dalej: Mikrofon pozwolił całej Polsce przeżywać fascynujące wrażenia z pierwszego wyścigu samochodowego, rozegranego na ulicach miasta (Lwów, 8 września), narysował wyraziście i żywo powagę i doniosłość otwarcia pierwszej w Polsce sztucznej ślizgawki (Katowice, 7 grudnia).

Żadne ważne wydarzenie sportowe w kraju nie obyło się bez radja, które szkicowało wrażenia chwili, oddawało nastrój widowni i boiska, informowało natychmiast całą Polskę.

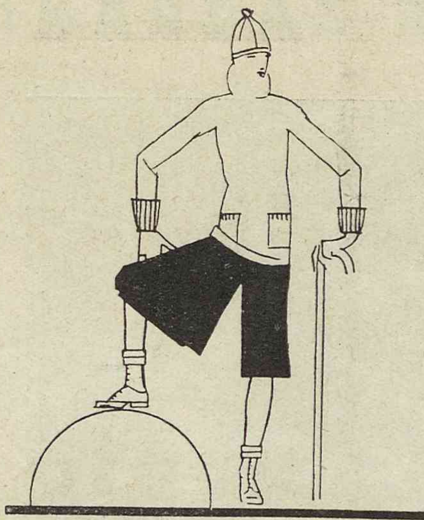
Mikrofon zdobywa w sporcie coraz to nowe pole do popisu, wgłębia się w nasze życie sportowe coraz silniej.

*

Dzięki radju człowiek przestał być sam. W najdzikszych, najrzadziej zaludnionych okolicach, wśród lodowych pustyni bieguna, na rozpalonym piasku Sahary, radjo jednoczy podróżnika, badacza, uczonego z całym cywilizowanym światem.

Tak samo turysta lądowy czy wodny — szukający nowych wejść na Zamarłą Turnię, bądź płynący na jachcie, łodzi motorowej, czy nawet na zwykłej „łupince" rzecznej — słucha sobie w cichą noc lipcową odgłosów wielkiego świata, słucha i wie, co się w nim „teraz" dzieje.

Na głębokiej prowincji, gdzie gazety dochodzą po dwu dniach, a każdy sklepikarz, bądź pachciarz rozwożący mleko jest „najlepszem źródłem informacyjnem", każde słowo zbliżające słuchaczy do wielkiego świata sportu jest balsamem przykładanym na wiecznie otwartą ranę ciekawości młodzieży na temat wydarzeń sportowych.



Dlatego właśnie w prowincjonalnych domach ludowych, posiadających radjoodbiorniki, wieczorami zbiera się tak wiele młodzieży. Słuchają z namaszczeniem komunikatów i odczytów sportowych, ignorowanych przez starszych.

Sport i radjo, dwa potężne czynniki rozwojowe doby obecnej, podały sobie zgodnie ręce i prowadzą społeczeństwo ku nowym zdobyczom.

Tadeusz Grabowski

Nowy savoir-vivre

O panach, którzy jadąc windą w towarzystwie pań, zdejmują kapelusz — całują w rękę, nietylko panienki siedemnastoletnie, ale też ich babki — wstają, gdy podchodzi do nich w cukierni jakaś pani — mówi się, że posiadają dobre, przedwojenne wychowanie.

Upadek uprzejmości nie jest naszą wyłącznie bolączką. Podobno cała Europa skarży się na ginące wytworne obyczaje, a Francja, która była kolebką savoir-vivre'u, nietylko biada, lecz stara się przywrócić sobie dawną sławę i coraz to rzuca na rynek księgarski nowy podręcznik savoir vivre'u.

W swojej ostatniej książce *„Le nouveau savoir-vivre"*, mającej na celu: „wymieść stare obyczaje" (książce, traktowanej bardzo poważnie przez autora) *Paul Reboux* zaznacza, że to, co uznawano przed ćwierćwiekiem za szczyt dobrego wychowania, musiało dziś, w erze samochodów, samolotów, cocktailów, telefonów i radia ulec gruntownej zmianie.

W jakiej mierze winniśmy zmienić nasze pojęcia o uprzejmości towarzyskiej i obyczaje, o tem poucza ten nowy kodeks, z którego wyjmuję kilka ciekawszych paragrafów:

Dzieci i psy w salonie.

Dawny savoir-vivre polecał usuwać z salonu dzieci i psy. Pies, którym można się zachwycać, głaskać (o ile się godzi), podziwiać rasę i spryt, jest doskonałym tematem rozmowy. Należy też dawać swoim gościom możność korzystania z tak rzadkiej okazji, jaką jest rozmowa towarzyska nie polegająca na obmowie. To samo da się powiedzieć o dzieciach; jeżeli są miłe i grzeczne, każdy rad będzie powinszować matce. A jeżeli są nieznośne i zbyt sprytne, typowe „enfant terrible", całe towarzystwo ubawi się.

Jak całować w rękę.

Wielu mężczyzn nie potrafi całować w rękę. Niektórzy kładą pocałunki-pijawki. Inni całują soczyście. Inni zamaszyście. Większość nie wie, że nie należy całować ręki w rękawiczce — a najstraszniejszą rzeczą jest odchylanie rękawiczki w pogoni za kawałkiem skóry... i komentowanie: „Pozwoli pani, ale nie mogę się dostać". Słyszałem, jak pewien mężczyzna, pragnący uchodzić za wykwintnego, wyrażał się temi słowy. Biedaczek...

— Nie całuj nigdy kobiety w rękę — oto najlepsza rada.

Rozwody.

Wobec szalonego tempa, w jakiem ludzie rozwodzą się, a następnie wstępują w nowe związki małżeńskie, jest się często narażanym na spotykanie w towarzystwie rozwiedzionych małżonków, nic o tem nie wiedząc. Należy zatem być bardzo ostrożnym. Uważaj, ażebyś nie pytał męża o zdrowie jego poprzedniej żony. A jeżeli „wpadłeś", to powiedz: „Wiem, że posiadał pan zawsze dar wyszukiwania najczarowniejszych kobiet. I muszę panu powinszować postępów, jakie pan poczynił w tej sztuce". Jeżeli — z drugiej strony—pomylisz się co do kolejności żon i obecną „wziąłeś za poprzednią", to łatwo naprawisz swój błąd, mówiąc jej: „Nie jest to dowodem, że zachowałem nikłe wspomnienie o tamtej osobie? Tak ją pani przekreśliła, że dla mnie jedyną panią X... była tylko pani!"

Lekarze.

Jeżeli lekarz zaprasza cię na obiad, możesz rozmawiać z nim o chorobach, lecz nigdy o swoich własnych. Gdy zapraszasz lekarza do siebie, nie rozmawiaj z nim nigdy o medycynie. Powinieneś starać się oderwać go od jego zwykłych zajęć i trosk.

Gra w karty.

W starym podręczniku kurtuazji znalazłem kilka słów o graczach w faraona, które można zastosować doskonale do obecnych bridżistów: „Nie należy okazywać zbyt wielkiego przejęcia grą, ani chęci wygrania... nie należy też lekceważyć gry i przegrywać z uprzejmości... niech twoi partnerzy mają wrażenie, że bawisz się doskonale... Nie zachwycaj się swoją dobrą rozgrywką i piękną kartą... Nie sprzeczaj z partnerami, którzy są nieprzyjemni... nie rzucaj kart przed końcem gry. Nie unoś się, zwłaszcza gdy grasz z kobietą..." Gra zabija rozmowę. Jeżeli twoi goście zdolni są do rozmowy, nie pozwól im zasiadać do kart. Nudnych lub złośliwych zmuś do gry.

Teściowe.

Stosunek zięciów do teściowych zmienił się. Kpiny z teściowych ubawiły kilka pokoleń. Były symbolami zazdrości, złośliwości i t. p. Koniec tej tradycji. Dzisiaj teściowa mówi: „Ubóstwiam mojego zięcia! Byłoby z nas idealne małżeństwo", a zięć zapewnia: „Jestem zakochany w mojej teściowej".

Przyznać należy, że wygląd teściowej uległ zasadniczej zmianie...

Wolne wnioski.

Pierwszą zasadą savoir-vivre'u jest móc obejść się bez tych zasad.

Nie przykładaj zbyt wielkiej wagi do formy (treść jest najważniejsza).

Nie dbaj o to, „co o tem powiedzą".

Nie bądź małostkowy.

A przedewszystkiem nie ufaj zdaniu „to uchodzi — tamto nie uchodzi" i nie kieruj się opinją innych w tym względzie. Bo kto był twórcą tego „co uchodzi" — może jakiś głupiec? Więc należy go naśladować?

Al.

HUMOR ZAGRANICZNY



JAK CZYTELNICY SENSACYJNYCH ROMANSÓW WYOBRAŻAJĄ SOBIE ARESZTOWANIE DEFRAUDANTA (Illustrierte Zeitung)

— Otóż widzi pan, kiedy wracam do domu, czeka mnie zazwyczaj mnóstwo nieprzyjemności i przykrości: żona mnie łaje, dzieci hałasują, jedzenie jest niedobre, jedyną zatem przyjemnością, która mi zostaje, to zdjęcie ciasnych bucików.

*

— Proszę panią, jest taka wilgoć w pokoju, że grzyb rośnie na ścianie!
— A pan chciałby za to marne komorne, żeby rosły chryzantemy?! Co!

*

— Codziennie rano po goleniu czuję się młodszy o dwadzieścia lat!
— Mój drogi, czy nie mógłbyś się tak golić zawsze wieczorem?

*

— Tę odrobinę lodów nazywa pan porcją?
— A pan chciałby za złotego odrazu całą ślizgawkę?!

*

— Panie płatniczy, mam tylko złotego w kieszeni, co mi pan może polecić?
— Inną restaurację najlepiej!

*

Przechodzień do żebraka:
— Nie mam portmonetki przy sobie, dam wam innym razem.
— Ile ja już straciłem na tem kredytowaniu!

*

— Dziś dałem dowód ogromnej miłości bliźniego.
— Cóż takiego zrobiłeś?!
— Przyjaciel prosił mnie o pożyczenie mu większej sumy pieniędzy, by się mógł ożenić i ja mu odmówiłem!

*

— Skoro pan został naszym dyrektorem, ofiarujemy panu dwanaście akcji.
— Ale mam nadzieję, że nie waszego towarzystwa!

*

— Dziś po raz pierwszy od dziesięciu lat wspólnego pożycia przyznała mi rację.
— No, no. Czemżeś ją tak zjednał?
— W uniesieniu sam siebie nazwałem osłem.

(N. W. Journal).

*

— Wczoraj spotkałem twoją żonę.
No i o czemże rozmawialiście?
— Nie mówiła do mnie nic.
— No to nie była moja żona.

(Blue Ox).

— Gdy tylko zaczynam sprzeczać się z mężem, zaraz synka wysyłam do ogrodu.
— O, tak, znać po nim, że długo przebywa na świeżem powietrzu.

(Fantasio).

*

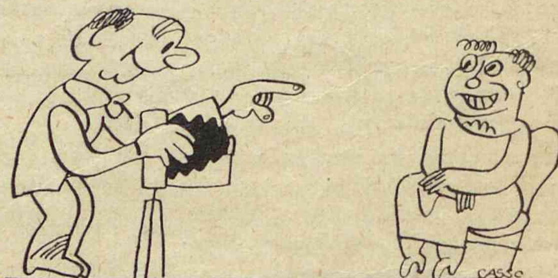
Konkurent: — Więc pani nie wierzy, że ją kocham ponad wszystko na świecie? Niech mnie na miejscu szlag trafi, jeśli kłamię!
Posażna jedynaczka: — Panie, proszę się nie zapominać i nie używać wobec mnie nieprzyzwoitych wyrażeń!
Konkurent: — W sprawach pieniężnych nie dbam o przyzwoitość.

(Red Cat.).

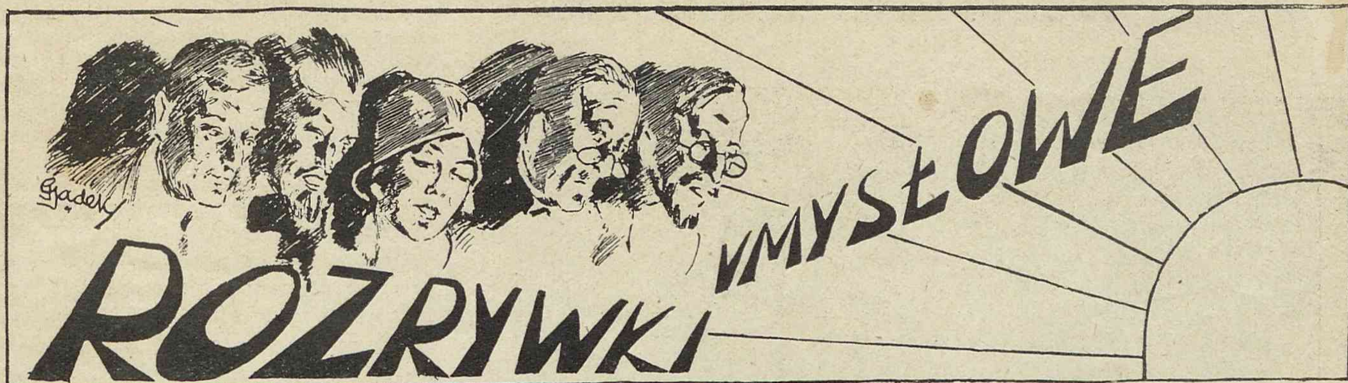
*

— Co się stało, że pan kuleje?
— Bardzo proste, mam ciasne buciki.
— Więc dlaczego nie kupi pan nowych?
— Wcale o tem nie myślę i cieszę się, że mam niewygodne buciki.
— Nie rozumiem tego zupełnie!

HUMOR ZAGRANICZNY

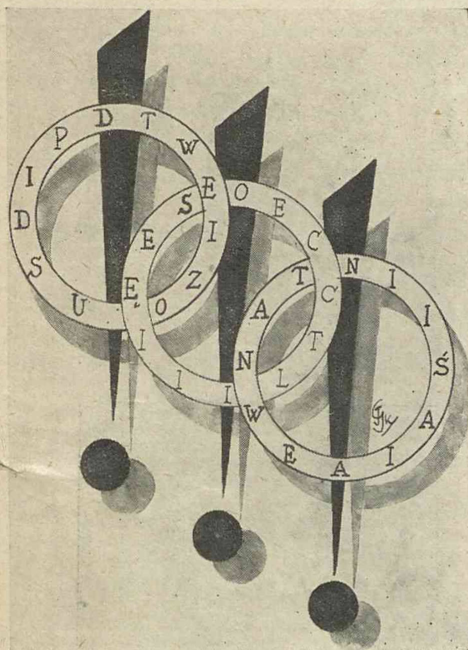


— Czy pani życzy sobie fotografję większego czy mniejszego formatu?
— Mniejszego.
— To proszę zamknąć buzię. (Le Rire)



Nr. 3. Zadanie zegarowe.

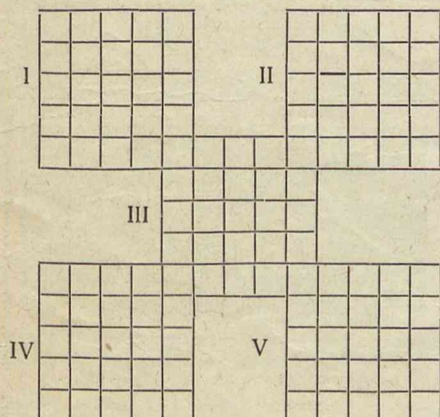
(Za rozwiązanie 3 punkty).



Posuwając się w kierunku wskazówki zegarowej i przeskakując za każdym razem jednakową ilość liter, odczytać poszukiwane zdanie.

Nr. 4. Kwadraty magiczne.

(Za rozwiązanie 4 punkty).



W pięciu podanych kwadratach ułożyć 25 czytanych poziomo i pionowo wyrazów, o następującem znaczeniu:

I: kształt rośliny — zbiornik wody — najwyższy punkt — mędrzec starożytny — dolegliwość;

II: zapis — firma kosmetyczna — rzemieślnik — imię żeńskie — broń Rzymian;

III: ustępstwo — imię żeńskie — owoc — działanie wojenne — inaczej niedroga;

IV: zwierzę przedpotopowe — imię żeńskie — sprzęt — wielki deszcz — moneta;

V: imię żeńskie — jezioro — utwór laureata Nobla — broń — ogłoszenie.

Nr. 5. Od słowa do słowa.

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Do podanych końcówek dodać odpowiednią ilość liter, rozstawiając je w ten sposób, by powstało 8 nowych wyrazów, których pierwsze litery, czytane z góry na dół, dadzą nazwę utworu literackiego.

A - a - a - a - a - a - a - b - d - e - i - k - k - k - l - m - o - r - r - r - r - r - s - t - n - w - y - z.

				K	A	T
			O	T	T	O
				W	I	R
			C	H	A	N
				S	I	R
			M	A	T	A
				T	O	R
			O	R	K	A

Konkurs wyłącznie dla dowcipnych.

„Dobry żart — tynfa wart" mówi znane przysłowie, świadczące dosadnie o zamiłowaniu Polaków do dowcipu. A jednak nigdzie chyba nie ginie w niepamięci, po krótkiej tułaczce w ustnej tradycji, tyle dobrych, jędrnych dowcipów, co w Polsce. Aby je ratować, ogłosiliśmy ten konkurs i nadal wzywamy do jaknajliczniejszego uczestnictwa.

Dajemy więc, jako drugie z kolei zadanie, zgłoszenie trzech najlepszych „kawałów" oryginalnych czy zasłyszanych, byle istotnie najlepszych (we własnem przekonaniu). Swobodę wyboru ograniczamy jednem tylko zastrzeżeniem: nie wolno przytaczać dowcipów z tegorocznych pism czy repertuarów estradowych.

Wielki plebiscyt czytelników „Świata"

„10 żyjących znakomitości polskich"

W szybkiem tempie współczesnego życia tracą dotychczasową wartość wszelkie miary, nawet miary sławy, której aureola odbywa dość niespodziewane wędrówki, coraz częściej zbaczając na manowce reklamy. Te jednodniowe sławy nie powinny jednak przyćmiewać rzetelnego blasku prawdziwych wielkości, wyrastających ponad zwykłą miarę zalet i zasług.

Z tego też względu uważamy za celowe i pożyteczne zestawienie czołowego pocztu conajprzedniejszych nazwisk żyjących Polaków. Pragniemy w ten sposób uzyskać miarę oceny naszej współczesności, miarę jej zrozumienia.

Jesteśmy przekonani, że ustalony w drodze powszechnego głosowania Czytelników „Świata" poczet

10 żyjących znakomitości polskich

obejmie najzasłużeńsze jednostki ze wszystkich dziedzin pracy, a więc z polityki, życia umysłowego, sztuki i życia gospodarczego. Wielce charakterystyczną będzie również kolejność, według której nazwiska te będą ułożone.

Spodziewamy się, że nasz plebiscyt przyniesie obfity plon.

Rozwiązanie zadań z Nr. 50

№ 1. Zadanie artystyczne: J. Fałat: Autoportret, H. Weyssenhoff: Ślad, J. Brandt: Pokaz konia.

Wszystkie fragmenty rozpoznało i tytuły odpowiednich obrazów wiernie podało 6 czytelników.

Nagroda w postaci flakonu wody kolońskiej „Antiba" (1/4 litra) wylosowana została dla p. Wacławy Berkmanowej z Warszawy.

Pozostałym osobom zaliczono za trafne rozwiązanie po 3 punkty.

№ 2. Zadanie ilustracyjne: Katar-akta = katarakta.

Trafne rozwiązanie nadesłało 11 czytelników, którym zaliczono po 2 punkty, nagrodę zaś w postaci słoika kremu beztłuszczowego wylosowano dla p. Stanisławy Pretkielowej z Warszawy.

NOWY GMACH P. T. K. W WŁOCŁAWKU



FRONT NOWEGO GMACHU POL. TOW. KRAJOZNAWCZEGO. ZNALAZŁO W NIM POMIESZCZENIE MUZEUM ZIEMI KUJAWSKIEJ I WŁOCŁAWSKA PUBLICZNA BIBLJOTEKA

CO CZYTAĆ?

HISTORJA FILOZOFJI — FILOZOFJA LUDÓW PIERWOTNYCH — EDWARD ABRAMOWSKI — AUTOBIOGRAFJA MILLA — DROGĄ SAMOTNYCH

Inteligentny polski czytelnik zyskał dwa bardzo cenne podręczne dzieła, dotyczące historji filozofji. Na czoło należy postawić dwutomową, obszerną pracę prof. Władysława Tatarkiewicza. Jest ona ukończona, daje więc możność wszechstronnego rozejrzenia się w materjale informacyjnym i krytyczno - poznawczym. Po książkach H. Struvego, Raciborskiego, Kozłowskiego jest to pierwsza próba ujęcia dorobku myśli filozoficznej europejskiej w ramy metodologiczne polskie. Prof. Wł. Tatarkiewicz w obszernem „posłowiu", załączonem do tomu II, wyjaśnia, czemu dał historję filozofów, nie zaś dzieje myśli, słusznie podnosząc użytkowy cel tego podręcznika. Stanie się on też dzięki temu opracowaniu ważną pomocą tak dla studjujących filozofję studentów, jak i dla inteligentnych a ciekawych czytelników. Reprezentacyjne nazwiska w dziejach myśli znalazły klarowne, syntetyczne streszczenie ich dorobku i metodologji myślenia. Przełomowe dzieło Kanta opracowano szczególnie pieczołowicie, choć pominięto najznakomitszą krytykę tego systemu, a mianowicie ujęcie prof. L. Petrażyckiego.

„Historja filozofji" Wł. Tatarkiewicza czyni zbędnemi rozpowszednione, cudzoziemskie podręczniki, jak Uberweg - Heinzego, Hefdinga.

Równocześnie prawie ukazał się tom pierwszy na szeroką skalę zakrojonego dzieła prof. dr. Ignacego Myślickiego pt. „Encyklopedja filozofji. Historja filozofji w trzech tomach". Obecnie wydany tom zawiera „filozofję ludów pierwotnych i narodów starożytnych". Prof. Myślicki poszedł drogą inną, niż autor „Historji filozofji". Dał przedewszystkiem rzeczowy wykład dziejów myśli. Jego podręcznik nie ograniczył się tylko na filozofji europejskiej, lecz sięgnął do myśli Azteków, Egipcjan, Babilończyków. Persów, Hindusów, Chińczyków, Lapończyków itp. W ten sposób książka prof. Myślickiego uzupełnia jakgdyby wysiłek prof. Tatarkiewicza.Należy się cieszyć, iż mimo ciężkich warunków, w jakich żyjemy, praca nad pogłębianiem naszej kultury nie ustaje. Duży to wysiłek opracowanie dwóch takich podstawowych podręcznych dzieł.

Miłośnikom filozofji Edwarda Abramowskiego wielką przyjemność niewątpliwie sprawi praca p. Neli Samotyhowej o poglądach tego mędrca „na znaczenie dobra i piękna w przebudowie życia". Myśliciel ten wywarł duży wpływ na liczne rzesze naszej inteligencji tak studjami swemi nad problemami psychologji, jak i etyki, socjologji. Śp. Edward Abramowski posiadał duży czar osobisty: jego słowo łatwo trafiało do serc i głęboko poruszało w nich najtajniejsze i najbardziej ludzkie struny. Jako propagator kooperatywizmu, dobrze zasłużył się ideologjom, dążącym do samodzielności naszego społeczeństwa. Książka p. N. Samotyhowej zjawia się bardzo na czasie: przypomina te ludzkie, piękne przedwojenne wskaźniki moralne, które uskrzydlały ofiarność i dawały jej perspektywy godne szlachetnych wysiłków, najczystszych opiekuńczych duchów Człowieczeństwa.

Za książkę na czasie należy też uważać słynną „Autobiografję Johna Stuarta Milla"; ukazała się ona obecnie w przekładzie p. Mieczysława Szerera. Jest to publikacja, posiadająca ustaloną reputację ludzi kultury. Warto. by czytała ją młodzież. Nie od rzeczy będzie, że przypomną ją sobie i ludzie starsi. Życie Johna Stuart'a Milla należy przecież do dziejów szlachetnych wysiłków uszczęśliwienia, opromienienia sprawiedliwością walczącej o dobro ludzkości.

Powieść p. Tadeusza Przychodzkiego „Drogą samotnych" posiada zalety i wady początkujących piór. Widnokrąg jej bohatera niewątpliwie zyska szersze perspektywy w następnych utworach. Należy więc tę książkę uważać za miły zadatek.

E. C.

STRZEŻCIE SIĘ GRYPY!

Obecnie, gdy ze wszystkich stron kraju nadchodzą wiadomości o epidemji grypy, należy zwracać szczególnie baczną uwagę na swe zdrowie. Każdy, kto bierze udział w zebraniach, odwiedza teatry i kina, lub kto wogóle musi przebywać w jednem pomieszczeniu z większą ilością osób, a zwłaszcza podróżni i dzieci szkolne — powinni od czasu do czasu zażywać pastylkę Panflaviny, którą należy powoli przeżuwać w ustach. Uchroni go to z pewnością przed niebezpieczeństwem zarażenia się grypą lub anginą oraz przed zaziębieniem.

Przedewszystkiem zaś wskazanem jest, aby rodzice możliwie często dawali swym dzieciom, zwlaszcza uczęszczającym do szkoły, pastylki Panflaviny, wyróżniające się, jak wiadomo, bardzo przyjemnym smakiem.

PRZEMYSŁ SAMOCHODOWY



Inżynier ppłk. Kazimierz Meyer, główny dyrektor i zarządca Państwowych Zakładów Inżynierji, które przejęły budowę samochodów osobowych i ciężarowych URSUS w Polsce

Od Administracji

Do P. T. Prenumeratorów z prowincji:

Prosimy o bezwłoczne wpłacenie prenumeraty za styczeń, która wynosi **Zł. 7.—**
Prenumeratorzy, którzy przekazali jak w roku ubiegłym Zł. 6.— proszeni są o odwrotne dosłanie różnicy.
Zaznaczamy, że „Świat" i premje wysyłać będziemy tylko tym Prenumeratorom, którzy uiszczać będą prenumeratę **za każdy miesiąc zgóry.** Premję styczniową, którą będzie piękna powieść H. G. Wellsa — „Filozof w opałach" otrzymają więc tylko ci Prenumeratorzy, którzy wpłacą należność za styczeń najdalej do 15 b. m.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



W dniu 19 grudnia 1930 r. zmarła Marja z Nakwaskich Witoldowa Biernacka, w 48 roku życia, znana i ceniona w sferach towarzyskich i organizacjach społecznych stolicy

ZAPOBIEGANIE WYPADANIU I MARNIENIU WŁOSÓW

Zdaniem prof. Pohla oraz innych specjalistów chorób włosów, stanowi *jełczenie* wydzieliny tłuszczu skóry głowy najczęstszą przyczynę wypadania i zanikania włosów. A zatem, nie wydzielina jako taka, lecz *zostawianie* tłuszczu na skórze głowy warunkuje schorzenie skóry, w następstwie czego pojawiają się: łupież, strupki, swiąd, tudzież zanikanie korzonków włosów. Ponieważ ciepło pory letniej sprzyja jełczeniu tłuszczu, obserwujemy w jesieni masowe wypadanie włosów, jako następstwo zgrzania skóry oraz zaniedbania higjeny przy pomocy częstego mycia głowy. Ponieważ mydło zawiera kwasy tłuszczowe, a zatem pogarsza stan łojotokowy, posługiwać się należy wyłącznie do mycia *skóry* głowy i włosów Shampoonem Dra Lustra, który zobojętnia momentalnie kwasy tłuszczowe, zapobiegając marnieniu włosów.

Dr. Zenon B.

HUMOR

W szkole:

— Nie rozumiem, jak jeden człowiek może zrobić tyle błędów, ile ty zrobiłeś w zadaniu!

— To nie jeden człowiek, panie profesorze: pomagał mi ojciec i siostra.

*

Pan o poważnej tuszy staje na wadze automatycznej, by się zważyć. Waga jest najwidoczniej uszkodzona, bo wskazówka nie posuwa się ponad sześćdziesiąt kilogramów. Korpulentny pan niedowierzająco przygląda się wadze. Wtem przechodzą dwa wyrostki i powiadają jeden do drugiego:

— Zobacz! Ten jest wewnątrz chyba pusty!

*

— Co to jest optymista?

— Optymista jest to taki pan, który z ostatniej galerji stara się skokietować girlsę!

*

HUMOR ZAGRANICZNY



GOŚĆ: — Co ten pies tak wpatruje się w mój talerz?

KELNER: — Nic dziwnego: on jada zawsze na nim swój obiad. (Lustige Blätter)

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.* Druk. Galewski i Dau, Warszawa